



www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

5

2019

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

Etiopia

W KRAINIE HOBBITÓW

str. 16

str. 8

CZECHY

PRAGA – ZWIEDZANIE RÓWNOLEGŁE

str. 24

MEKSYK

WSZYSCY BOGOWIE TLAYACAPAN

str. 86

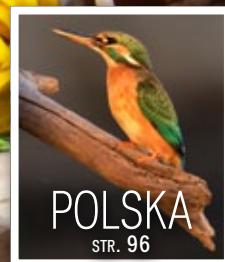
CYPR

DOM BOGINI PIĘKNA

KOLUMBIA STR. 54
TROPIĄC ELDORADO

WĘGRY STR. 32
SMAK GORĄCY JAK CZARDASZ

SRI LANKA STR. 76
PODRÓŻ Z KROPKĄ



POLSKA
STR. 96



ŁĄCZY NAS PRZYGODA

Rowery wyprawowe Treka to niezawodne i gotowe na przygodę narzędzia, które ułatwią Ci eksplorację najdalszych zakątków świata. Wyzwolą Cię z ciasnoty otoczenia, pozwolą na życie w harmonii z pięknem natury i na obcowanie z ludźmi, którzy myślą podobnie i idą przez życie tą samą ścieżką przygody. Ciesz się tym światem z rowerami wyprawowymi Treka.

trekbikes.com

A photograph showing two cyclists from behind, riding on a dirt road. They are wearing orange jackets and helmets, and have large backpacks. A dog is running alongside them on the right. The background is a hazy, mountainous landscape.

TREK



MEKSYK str. 24



CYPR str. 86



SZKOCJA str. 44



SRI LANKA str. 76



KOLUMBIA str. 54

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

CZECHY str. 8
Praga – zwiedzanie
równoległe.
Mikołaj Gospodarek

ETIOPIA str. 16
Wioski plemienia
Konso przypominają
siedziby hobbitów.
Alicja Kubiak i Jan Kurzela

MEKSYK str. 24
Wszyscy bogowie Tlayacapan.
Maria Giedz

POZNAJ ZWYCZAJ str. 32
Smak gorący jak czardasz.
Radosław Kożuszek

GEOSKOP str. 40

SZKOCJA str. 44
Wyspa Skye leży
u zachodniego wybrzeża
Szkocji, w archipelagu
Hebrydów Wewnętrznych.
Michał Janik

PODRÓŻNOŚCI str. 52
Produkt turystyczny.
Felieton Magdaleny
Żelazowskiej

KOLUMBIA str. 54
Tropiąc Eldorado.
Elżbieta i Piotr Hajduk

NAVIGATOR str. 62

GRUZJA str. 66
Tbilisi to miasto
wieloznaczne.
Stanisława Budzisz-Cyewska

DŁUGO W DRODZE str. 74
Dlaczego zamieszkałem
na wyspie.
Felieton Łukasza
Długowskiego

SRI LANKA str. 76
Podróż z kropką.
Renata Matusiak

POLSKA NIEZNANA str. 84
Przystań na Dolnym Śląsku.
Felieton Mikołaja
Gospodarka

CYPR str. 86
Dom bogini piękna.
Marta Legieć

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:
POLSKA str. 96
Koło Warty.
Bartłomiej Kończak
**ŚLADAMI
PRZESZŁOŚCI** str. 106
Pierwsza w Europie,
druga na świecie.
Felieton Anny Szczęnej

OUTDOOR str. 108

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



NA OKŁADCE:
mężczyzna
z etiopskiego
plemienia Konso

Paweł Pluciński

POLSKA

Lekkoduch

Konik polny to potoczna nazwa owada z rzędu prostoskrzydłych (*Orthoptera*). Owad występuje od wiosny do jesieni na łąkach (szczególnie suchych, niekoszonych), pastwiskach, w ogrodach, miejskich parkach i na wszelkich większych trawnikach. Ten skaczący szarańczak wydaje dźwięki poprzez pocieranie tylnych nóg o pokrywy. W kulturze konik polny bywa symbolem lekkomyślności i braku dbałości o przyszłość.





Edyta Roszkowska-Małek

PERU

Puje w parku

Zobaczyłam je po raz pierwszy w Parku Narodowym Huascarán i chociaż głównym celem wycieczki był lodowiec Pastoruri, to one najbardziej przyciągnęły moją uwagę. Park to habitat wielu chronionych gatunków roślin, w tym zagrożonej wyginięciem pui Raimondiego – największej na świecie rośliny zielnej z rodziny bromeliowatych. Te olbrzymy występują endemicznie w wyższych partiach Andów w Peru i Boliwii. Kwiatostan pui Raimondiego (nazwa pochodzi od nazwiska jej odkrywcy Antonia Raimondiego), wyrastający z rozety liści, osiąga wysokość 8 m. Roślina może żyć ponad 100 lat, niestety po zakwitnięciu obumiera.



Monika Mizera

BOLIWIA

Lodowy pejzaż (z flamingiem)

Zdjęcie zostało zrobione nad Laguną Hedionda, otoczoną zapierającymi dech krajobrazami. Na tak dużej wysokości teren jest surowy i nieprzystępny. W Boliwii jest pełno śpiących wulkanów, ośnieżonych szczytów i kolorowych lagun. To najbardziej surrealistyczny krajobraz, jaki w życiu widziałam: niewielkie stado flamingów na tle ośnieżonych szczytów. Ptaki szukają pożywienia w wodzie, która jeszcze nie zdążyła zamarznąć.



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.





FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



PRAGA ZWIEDZANIE RÓWNOLEGŁE

Mikołaj Gospodarek



NA SZLAKU ALTERNATYWNYM

Nieco szokujące rzeźby z parku Kampa, czyli pełzające noworodki. Każdy może podejść, dotknąć dzieła. Niewielu ma świadomość, że w ten sposób sami stają się częścią sztuki.

Ciszę bocznej praskiej uliczki burzyły podniesione głosy. Tego dnia trójka turystów zetknęła się z rzeźbami Davida Černego. To artysta, który odniósł sukces. Jego sztuka i twórczość zmuszają do głębszej refleksji. Fotograf, polonistka i studentka muzykologii kłócili się o niego w najlepsze. Podnosili głosy na tyle, że z wnętrza baru wyrzwał kelner. Ludzie w ogródku zaczęli spuszczać wzrok. Trudno uwierzyć, że przedmiotem tak ostrego sporu mogła być sztuka. Wziąłem w tym udział.

Pragę odwiedzam od wielu lat i bardzo długo szukałem „sposobu” na to miasto. Do czeskiej stolicy co roku zagląda prawie 8 mln turystów i widać to na każdym kroku. Barierki na moście Karola mówią same za siebie. Moje wizyty stawały się jednak coraz krótsze i wyjeżdżałem zdeustowany. Hradczany, pl. Wacława, Wełtawa o zachodzie słońca – praską klasykę poznałem na wylot i do znudzenia. Myślę, że takich osób jak ja jest coraz więcej. Kochają Pragę, jednocześnie jej nienawidząc.

Trudno było mi jednak skreślić to miasto z listy ulubionych, tym bardziej że pojawił się ratunek – współczesny artysta rzeźbiarz David Černý.

DWÓCH SIKAJĄCYCH NA CZECHY

Trudno liczyć na osobiste z nim spotkanie (co nie jest wykluczone w praskim pubie), ale bez problemu o każdej porze dnia i nocy można spotkać się z jego twórczością. Postać tego artysty budzi w Czechach skrajne emocje. Jedni go uwielbiają, a inni mówią o nim ze złością. Urodzony w 1967 r. w Pradze, zostawił w niej swój trwały ślad, a jego prace przyciągają turystów z całego świata.

Na czym polega fenomen jego dzieł i w jaki sposób można dzięki nim lepiej poznać Pragę? To banalnie proste. Jego sztuka żyje w mieście, a miasto żyje jego sztuką. Dosłownie. Kiedy zaznaczyłem na mapie najważniejsze prace



Dauida, zdziwiłem się, jak wiele razy przechodziłem obok nich. Jest to interesująca informacja nawet dla tych, którzy wybierają się do Pragi po raz pierwszy, ponieważ rzeźby Černego są dostępne dla wszystkich, na wyciągnięcie ręki.

Punktem obowiązkowym niemal każdej wycieczki jest, znajdująca się przed Muzeum Franza Kafki, rzeźba mężczyzn sikających na mapę Czech. Dla wielu osób właśnie to miejsce oznacza pierwszy kontakt ze sztuką Černego. Wsłuchując się w komentarze turystów i widząc ich zaangażowanie przy uwiecznieniu rzeźby na zdjęciach, odnosi się nieodparte wrażenie, że dzieło artysty „działa”. Wywołuje po części śmiech, po części zażenowanie, a na



EMBRION (?)

Jedna z bardziej tajemniczych rzeźb. Najlepiej oglądać ją wieczorem, kiedy jest podświetlona.



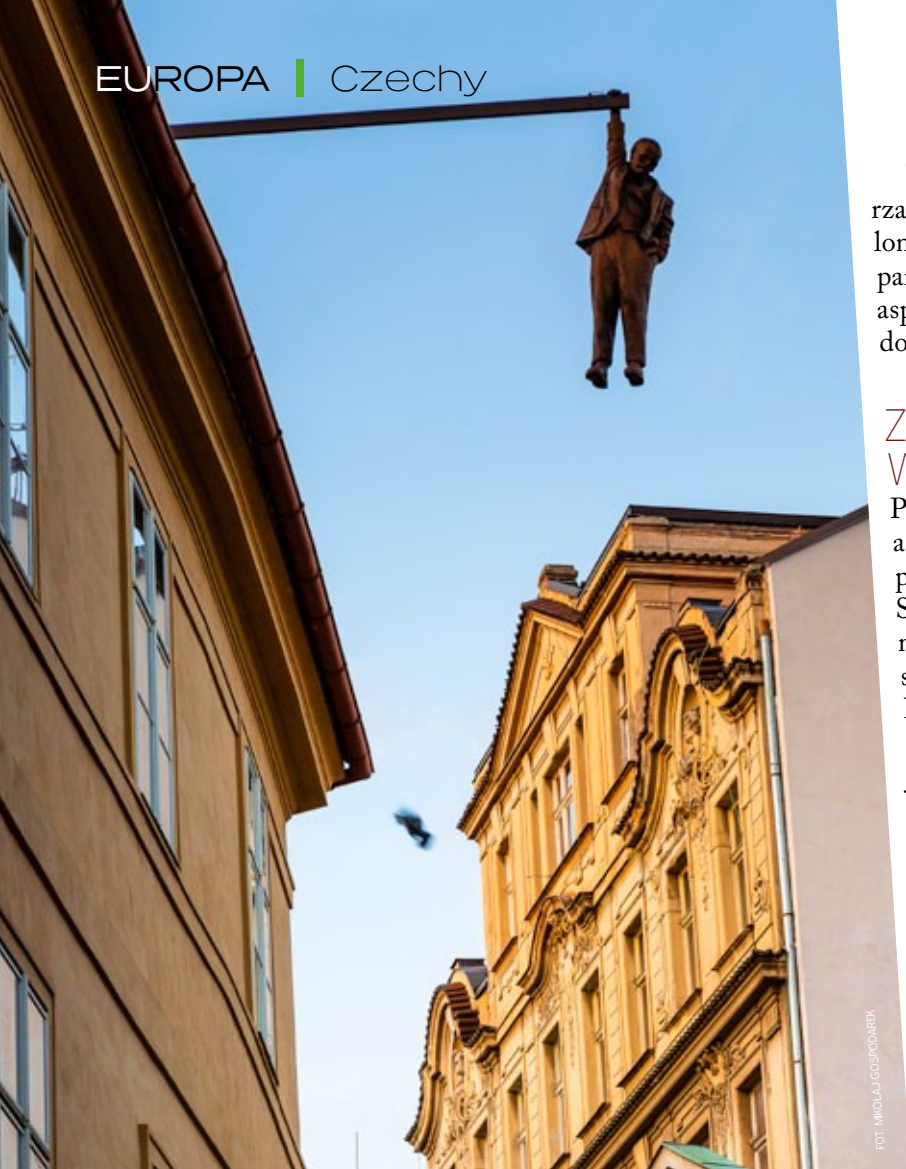
FOT. MIŁOJA GOSPODAREK



FOT. MIŁOJA GOSPODAREK

Z DYSTANSU

Wielu ze zwiedzających spogląda z oburzeniem na dwóch facetów siusiących na mapę Czech. Potrzeba sporej dawki zdrowego dystansu, żeby spojrzeć na tę sztukę bez dosłowności.



W parku Kampa noworodki o dziwnych twarzach, przypominających dziury do wrzucania bilonu, stają się idealnym miejscem do następnego pamiątkowego zdjęcia z Pragi. To kolejny ważny aspekt sztuki Černego – można przy okazji jej dotknąć, usiąść na niej czy się położyć.

ZAWIESZONY FREUD, WIRUJĄCY KAFKA

Po wizycie w parku idziemy na most Karola, a następnie na drugą stronę Wełtawy. Mijamy pierwszą ulicę za mostem i skręcamy w prawo. Schodzimy tunelem lekko w dół, znów skręcamy w pierwszą w lewo. Dochodzimy do małego skweru i spoglądamy na róg ul. Na Zábradlí. Na rynnice teatru znajduje się Embrion. Ale trzeba to wiedzieć, żeby go zauważyć. Nocną jest prościej, bo jest podświetlony.

Wąską uliczką Stříbrná dochodzimy do Náprstkovej i skręcamy w lewo do góry, w kierunku kolejnej rzeźby. Jest nią wiszący w powietrzu Sigmund Freud (mało kto wie,

WEJDZIE?

Černý zmusza do patrzenia. Freud spadnie czy skoczy? A może po prostu patrzy na Pragę ponad współczesnym ulicznym gwarem – analizują patrzący w górę przechodnie.

końcu refleksję. Przedstawia dwóch mężczyzn, dalekich od antycznej doskonałości, trzymających się za przyrodzenie, którzy sikają na własny kraj. Umieszczenie rzeźby również nie jest przypadkowe: u podnóża wzgórza zamkowego, przed muzeum jednego z najbardziej znanych czeskich pisarzy.

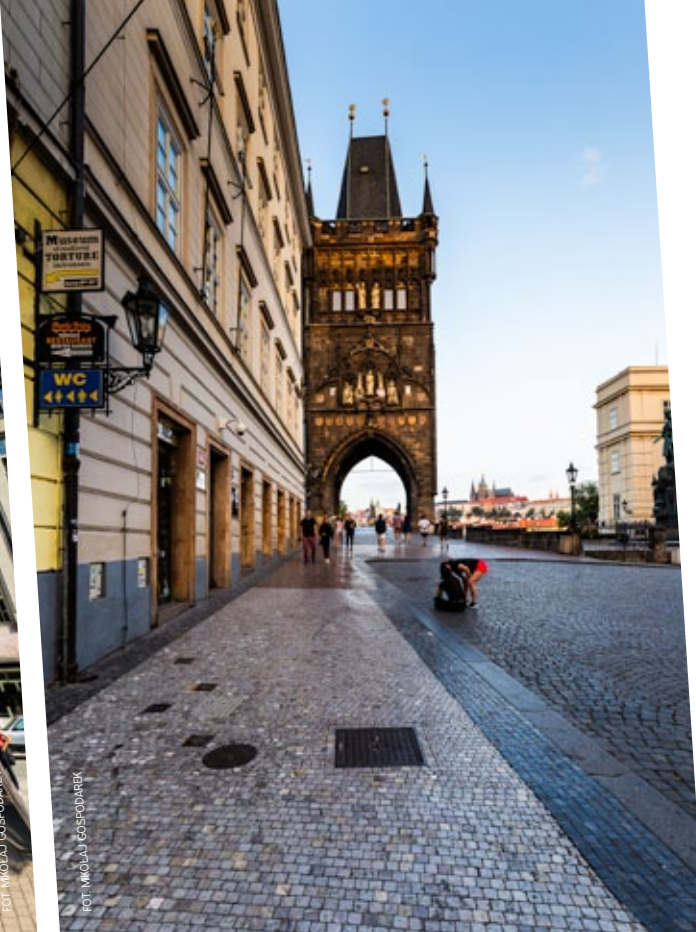
Idąc dalej w stronę mostu Karola, do następnej rzeźby, trzeba wejść do parku Kampa. Z pozoru to normalny zielony teren, z ławeczkami, drzewami i pięknym widokiem na Wełtawę. Tuż obok Muzeum Kampa pełzają jednak... noworodki. To jedna z najbardziej znanych rzeźb Černego. Powstała z okazji nadania Pradze tytułu Europejskiej Stolicy Kultury. (Pełzające dzieci wspinają się również na wieżę telewizyjną Žižkov. W 2017 r. zostały jednak zabrane do renowacji i podczas mojej wizyty mogłem podziwiać jedynie wysoką na 216 m konstrukcję, której koszt budowy wyniósł 19 mln dolarów).

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK





FOT. MICHAŁ GOSPODARZEK

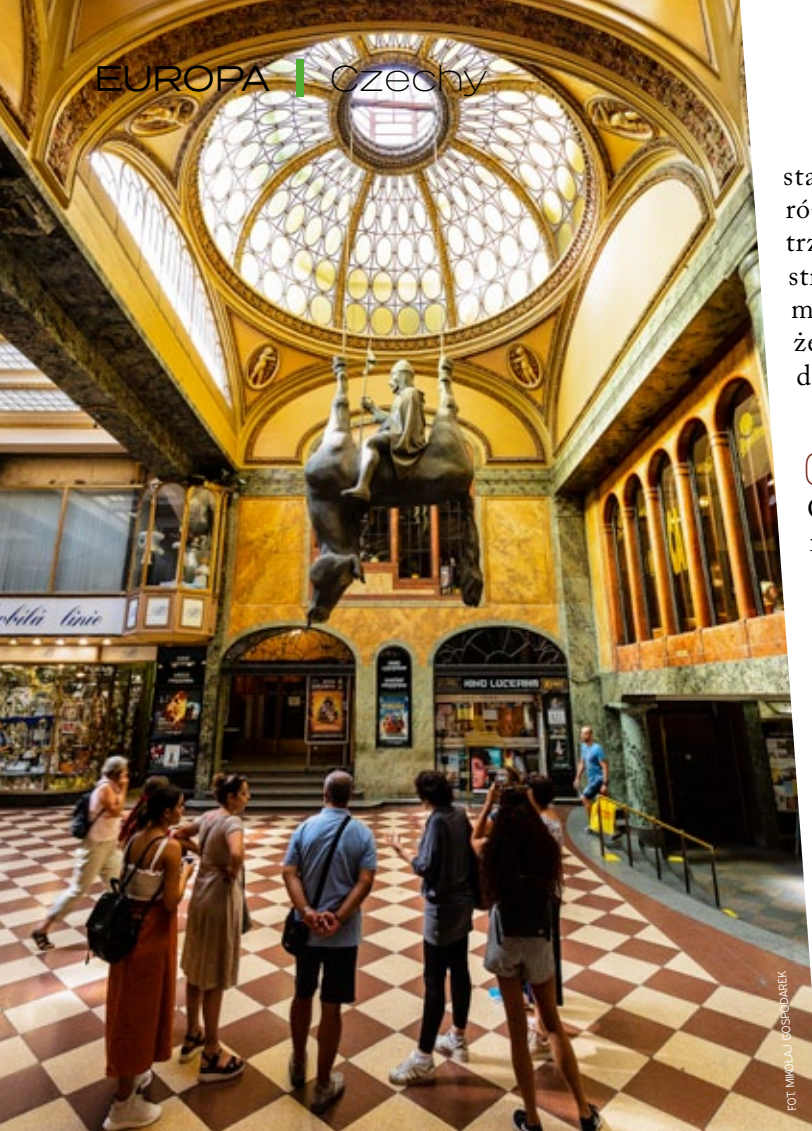


FOT. MICHAŁ GOSPODARZEK



MUST SEE

Most Karola i ruchoma głowa Franza Kafki to dwa obowiązkowe punkty dla odwiedzających miasto. Mimo że pochodzą z różnych epok, idealnie oddają ducha czeskiej stolicy.



stali, pociętej na 42 plastry, które wirując, pokazują różne oblicza tego samego człowieka. Warto się zatrzymać na dłużej i poobserwować rzeźbę z różnych stron. Jej bryła zmienia się nieregularnie i co chwilę można zobaczyć coś nowego. Intrygujące jest też, że głowa Kafki została zlokalizowana tuż przy wejściu do galerii handlowej.

ODWRÓCONY KOŃ ŚW. WACŁAWA

Ostatnim punktem na mojej trasie Černego była parafraza rzeźby św. Wacława na koniu, której szeroko znany oryginał można zobaczyć na pl. Wacława. Parafraza została umieszczona w pałacu Lucerna, a ukazuje dumnie siedzącego świętego, tyle że na koniu odwróconym i martwym. Rzeźba stoi w pasażu tego domu towarowego, tuż nad głowami klientów.

Z Lucerny po chwili dociera się do pl. Wacława, gdzie pięknie widać operę i cały praski rozmach uliczny.

SZTUKA ODKRYWANIA PRAGI

Szukając dzieł Černego, można lepiej poznać miejsca mniej znane, choćby Pasaż Lucerna tuż obok placu Wacława. Gdyby nie obecna w nim słynna rzeźba (parafraza pomnika św. Wacława), pewnie mało który turysta by tam zajrzał.

że urodził się w Czechach!). Zwisa nad zbiegiem uliczek Na Perstyně i Jilská, przez wielu niezauważony. Trzeba zdrzeć głowę, żeby zobaczyć jego niewielką postać. Wiszący nad miastem wywołuje z początku zdziwienie, a później pytanie – czy twórca psychoanalizy chce skoczyć, czy też raczej ratuje się przed upadkiem? Odpowiedzi brak.

O ile poprzednie rzeźby znajdowały się dosłownie na wyciągnięcie ręki, to ten „wiszący człowiek” jest ukryty ponad głowami przechodniów. Kiedy jednak ktoś zatrzyma się i spojrzy w górę, szybko znajduje naśladowców. Po chwili stoi tam tłum ludzi i zadziera głowy.

Idąc dalej, docieramy do ruchliwej ulicy Národní. Skręcamy w lewo i po przejściu przez bramę widzimy imponującą, ruchomą głowę Franza Kafki. Znajduje się ona przy ul. Charvatovej – 39 ton



Tutaj kończę swoją wycieczkę. To ostatnie spotkanie z panem Černym.

Tym razem nie odwiedziłem wszystkich jego dzieł w Pradze. Choćby (kawałek od starego miasta, w galerii Futura przy ul. Holečkovéj 789/49) wysokich na około dwa piętra Nogotyłków, jednej z moich ulubionych prac Černego. Wchodząc tam po drabinie, można zajrzeć do środka, gdzie znajdują się telewizory, na których jest emitowany obraz z jedzącym zupę prezydentem Czech Vaclavem Klausem i Milanem Knizakiem, byłym dyrektorem czeskiej Galerii Narodowej. To wszystko przy akompaniamencie „We are the champions” grupy Queen.

Przed przyjazdem do Pragi bez problemu znajdziemy obszerne mapy i opracowania opisujące, gdzie znajdują się inne prace Davida. Ja skupiłem się na moich ulubionych

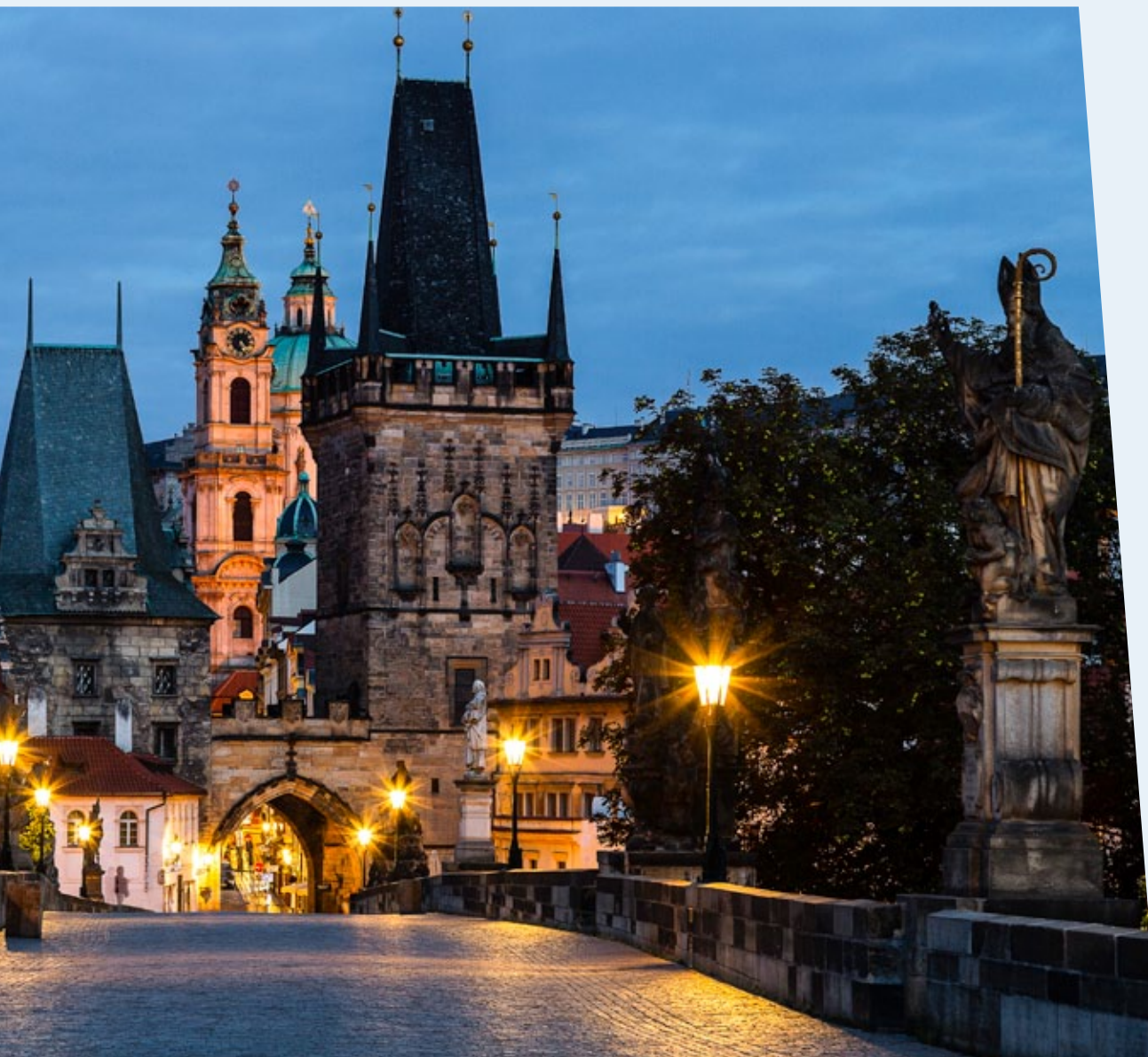
i położonych w samym centrum. Dzięki temu zobaczyłem dwie Pragi: jedną – klasyczną, turystyczną i już prawie sztampową; drugą – pełną sztuki, czasami prowokującej i wchodzącej w dialog z odbiorcą.

Istnieje wiele szlaków, dróg tematycznych i pomysłów na zwiedzanie tego miasta. Wchodząc na drogę rzeźb Davida Černego, odkrywa się Pragę na nowo. Sam artysta od lat skutecznie unika odpowiedzi na pytania dziennikarzy i krytyków sztuki chcących poznać prawdziwe przesłanki jego artystycznych działań. Zostawia innym pole do interpretacji. To właśnie stąd zrodziła się opisana we wstępie „awantura” w barowym ogródku. Trzy różne osoby, w tym i ja (fotograf) zupełnie inaczej odebrały pewną jego rzeźbę. Bo sztuka Černego domaga się komentarza, a jej studiowanie wykracza poza moment samego spotkania z dziełem. ○



Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.



Alicja Kubiak i Jan Kurzela

W KRAJNIE HOBBITÓW

Żaden scenariusz science fiction nie oddałby niezwykłości tego miejsca. Klimat niezemski i zupełnie niepodobny do jakiegokolwiek innego miejsca w Etiopii. Odwiedziliśmy wiele rdzennych plemion i każde zapadło nam w pamięć – jako barwne, fascynujące, z niezwykłymi zwyczajami. Jednak żadne z nich nie zadziwiło nas tak jak Konso...



Kierowca zatrzymał samochód pod drzewem, na polance, gdzie kończyła się droga, a zaczynała wąska ścieżka. Dalej, chcąc nie chcąc, trzeba było iść pieszo. Kiedy zbliżaliśmy się do wioski, byliśmy bacznie obserwowani przez miejscowe dzieci, które najpierw przyglądały się nam zza drzew, a później zaczęły podbiegać i przekrzykiwać się jedno przez drugie. Potem było już tylko lepiej.

ROLNIK SZUKA PŁONU

Populacja Konso jest znaczna, liczy około 300 tys. osób. Żyją w górach, na 230 km² i zajmują się rolnictwem. Zamieszkują tereny wyjątkowo mu niesprzyjające, dlatego muszą się mocno natrudzić, żeby osiągnąć zadowalające plony. Przede wszystkim stosują tarasowy system uprawy ziemi, co pozwala na odpowiednie nawodnienie terenu oraz daje możliwość magazynowania wody. Do tego



praktykują płodozmian, który dodatkowo użyźnia glebę.

Rolnictwo wymaga tutaj bardzo dużego nakładu pracy. Konso, niczym sumienni hobbicy, nie mogą sobie pozwolić na brak systematyczności lub dłuższe przerwy na odpoczynek. W takich warunkach ich umiejętności rozwinęły się i są uważani za najlepszych rolników w Etiopii. Uprawiają sorgo, kawę, kukurydzę, mango, papaję czy bawełnę. W polu pracują

kobiety i mężczyźni, z tym że kobiety są głównie odpowiedzialne za pielenie, zbieranie plonów i odstraszenie z pól ptactwa. Kolejnym ich zajęciem jest tkactwo.

Wyrabiają bajecznie kolorowe tkaniny, zarówno na użytek własny, jak i dla przybywających turystów. Na płotach często można zobaczyć różnokolorowe płachty, powiewające na wietrze niczym flagi. Konso zajmują się również hodowlą zwierząt, zwłaszcza kur,

KURNIK ROTUNDA

Typowy domek gospodarczy w wiosce plemienia Konso, w którym są trzymane kozy, owce, kury. Wykonano go z gliny, gałęzi oraz kamieni, dach został pokryty strzechą.

owiec i kóz. Zwierzęta są trzymane w obrębie gospodarstwa, nie wypuszcza się ich na wypas, aby chronić obsiane pola. Nie to jednak przyciąga tutaj turystów.

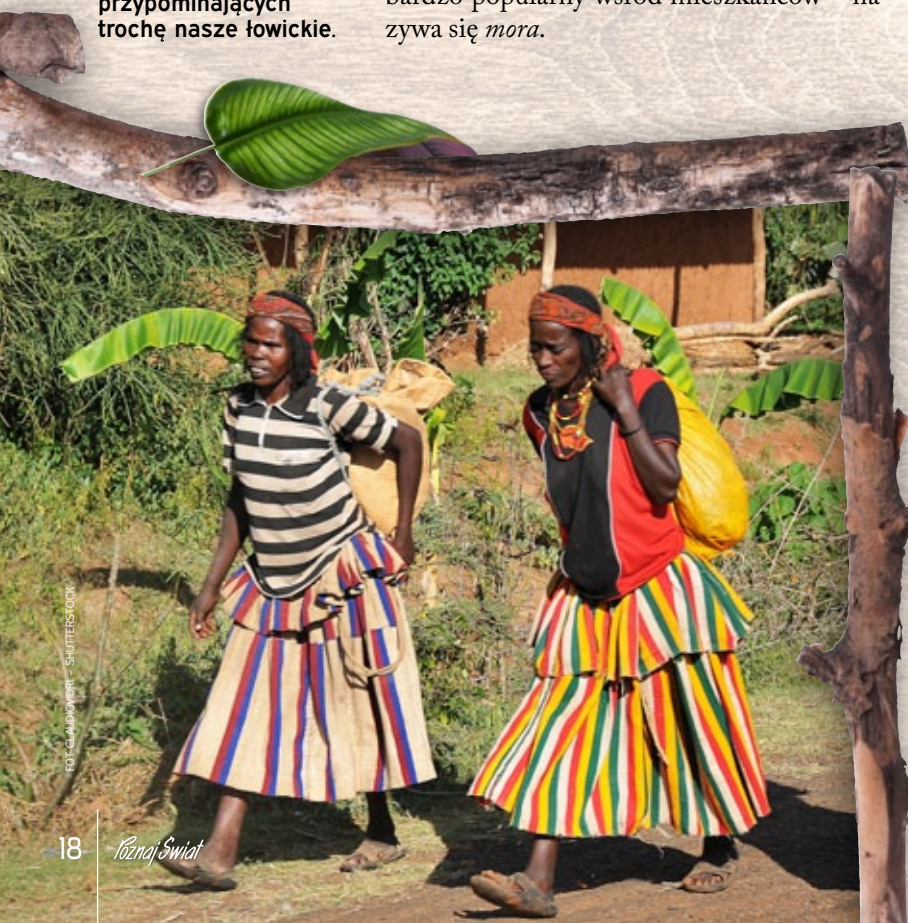
W KAMIENNYCH KRĘGACH

Wioski Konso są prawdziwymi perełkami – o niespotykanej nigdzie indziej, nietypowej zabudowie. Każda wieś jest zbudowana na planie koła. W centrum znajduje się główny plac, wokół którego są stawiane domy. Teren jest otoczony wysokim, kamiennym murem, który dochodzi do czterech metrów. Z czasem, gdy osada się rozrasta, domy są lokowane poza tym murem, ale nadal na planie koła. Potem jest budowany kolejny mur, który otacza te nowe domy. Na każde gospodarstwo składa się kilka zabudowań: dom, w którym mieszkają ludzie, mniejsze pomieszczenie służące jako magazyn żywności oraz domek, gdzie są trzymane zwierzęta.

W każdej wiosce znajduje się także budynek, do którego nie mają wstępu ani kobiety, ani dziewczynki. Mogą przebywać w nim tylko mężczyźni i chłopcy, którzy spędzają czas na grach, zabawach oraz rozmowach. Taki dom – bardzo popularny wśród mieszkańców – nazywa się *mora*.

NIE DALEKO DO ŁOWICZA

Kobiety w tradycyjnych wzorzystych, kolorowych spódnicach, przypominających trochę nasze łowickie.



Ogrodzenie w postaci kamiennego muru pełniło kiedyś funkcję ochronną – miało uniemożliwić dzikim zwierzętom przedostawanie się na teren wioski. W Etiopii, podobnie jak obecnie w sąsiedniej Kenii czy Tanzanii, żyło dużo groźnych zwierząt, takich jak lwy, lamparty czy słonie. Miejscowi polowali na nie z wielu powodów, choć głównie chodziło o pożywienie. Ale na początku lat 80. XX w., kiedy podczas klęski wielkiego głodu w Etiopii zmarło ponad milion osób,



FOT. ALCIA RUBIAK / UAN KUPZELA

dzikie zwierzęta stawały się jedynym źródłem pożywienia i praktycznie wyginęły.

Etiopia nadal należy do najbiedniejszych krajów kontynentu, często nękanych klęskami suszy i nieurodzajów, a co za tym idzie – głodem. Obecnie tworzy się więc parki narodowe, gdzie krytycznie zagrożona fauna jest pod ścisłą ochroną i rzeczywiście powoli się odradza. Poza parkami zwierząt praktycznie już nie ma, jednak Konso nie rezygnują z budowy swoich murów. Każda wioska składa się średnio z czterech okręgów, przy czym ten znajdujący

się w samym jej centrum jest oczywiście najstarszy i najmniejszy.

Okalające mury są robione z kamienia, natomiast płoty otaczające poszczególne gospodarstwa buduje się z większych lub mniejszych bali, gałęzi i traw, kamieniami zaś umacnia tylko dół takiej konstrukcji. W każdym płocie jest brama, która nie ma drzwi. Jest to najzwyczajsza dziura, którą tworzą specjalnie ułożone pnie drzew. Domy i pomieszczenia dla zwierząt są okrągłe, budowane z kamienia i drzew, a dachy są pokryte

ACH, TEN STYL

Kamienny mur otaczający wioskę dochodzi do wysokości 4 m. Oprócz tego każde z gospodarstw jest otoczone płotem z pni lub większych gałęzi. U szczytu dachów są umieszczone dzbany, które zespalają strzechy. Całość wygląda nadzwyczajnie.



KĄŻDY KLAN MA SWÓJ SŁUP

Nazywa się on pokoleniowy. Ma też kamień małżeński, również zwany pokoleniowym. Pełnią one ważną funkcję w kulturze plemienia. Dzięki liczbie bali ustawionych przy słupie można np. stwierdzić, ilu dorosłych mężczyzn liczy dany klan.

strzechą. Na szczycie każdego dachu znajduje się gliniany dzbanek. Na początku myśleliśmy, że jest on zwykłą ozdobą, jednak okazało się, że takie zwieńczenie ma zadanie nad wyraz praktyczne. Otóż dzban ściąga i przytrzymuje razem snopy, nie pozwalając im się rozłączyć. Wszystko to wygląda niezwykle malowniczo i tajemniczo.

JAK ZOSTAĆ MĘŻCZYZNĄ

Takich wiosek jest tutaj 41, z czego UNESCO objęło swoim programem 12. Każda ma po kilka tysięcy mieszkańców pochodzących

z 9 klanów, każdy ze swoim wodzem. W centralnym miejscu wioski, czyli w obrębie pierwszego, najstarszego okręgu, znajduje się plac, na którym możemy zobaczyć wysoką i stosunkowo cienką konstrukcję. Jest to tzw. słup pokoleniowy (*olahita*), bardzo ważny element kultury tutejszego ludu. Chłopak, który ukończy 18 rok życia, musi ściąć wysoki bal i oprzeć go o ten słup. Każdy klan ma swój osobny słup, dzięki czemu można m.in. zorientować się, ilu chłopców weszło już w pełnoletniość.

Obok słupa znajduje się duży kamień. Nie leży tu przypadkowo i także pełni bardzo ważną funkcję. Jest to kamień pokoleniowy,



FOT. ALCIA WIMBIAK / OAK KUPCELA

nazywany też małżeńskim. Otóż ten sam chłopak, któremu uda się już ściąć bal i oprzeć o słup, musi następnie podejść do tego kamienia – ważącego 50 kg – podnieść go i rzucić za siebie. Jeżeli kamień zostanie przerzucony w odpowiedni sposób i wystarczająco daleko do tyłu, uznaje się, że chłopak jest już dorosły i może zakładać rodzinę. Nie jest to bynajmniej zadanie łatwe, dlatego dorastający chłopcy przygotowują się do niego dużo wcześniej. Jeszcze jako małe dzieci ćwiczą podrzucanie kamieni mniejszych i lżejszych – tak by później nie ośmieszyć się przed klanem i przejść pomyślnie przez całą uroczystość.

Mężczyźni mogą mieć więcej niż jedną żonę, jednak mało kto pozwala sobie na utrzymanie kilku. Z powodów ekonomicznych poligamia nie jest zbyt popularna. Co zamożniejsi mają 2–3 żony, a rodzina liczy około ośmiorga dzieci.

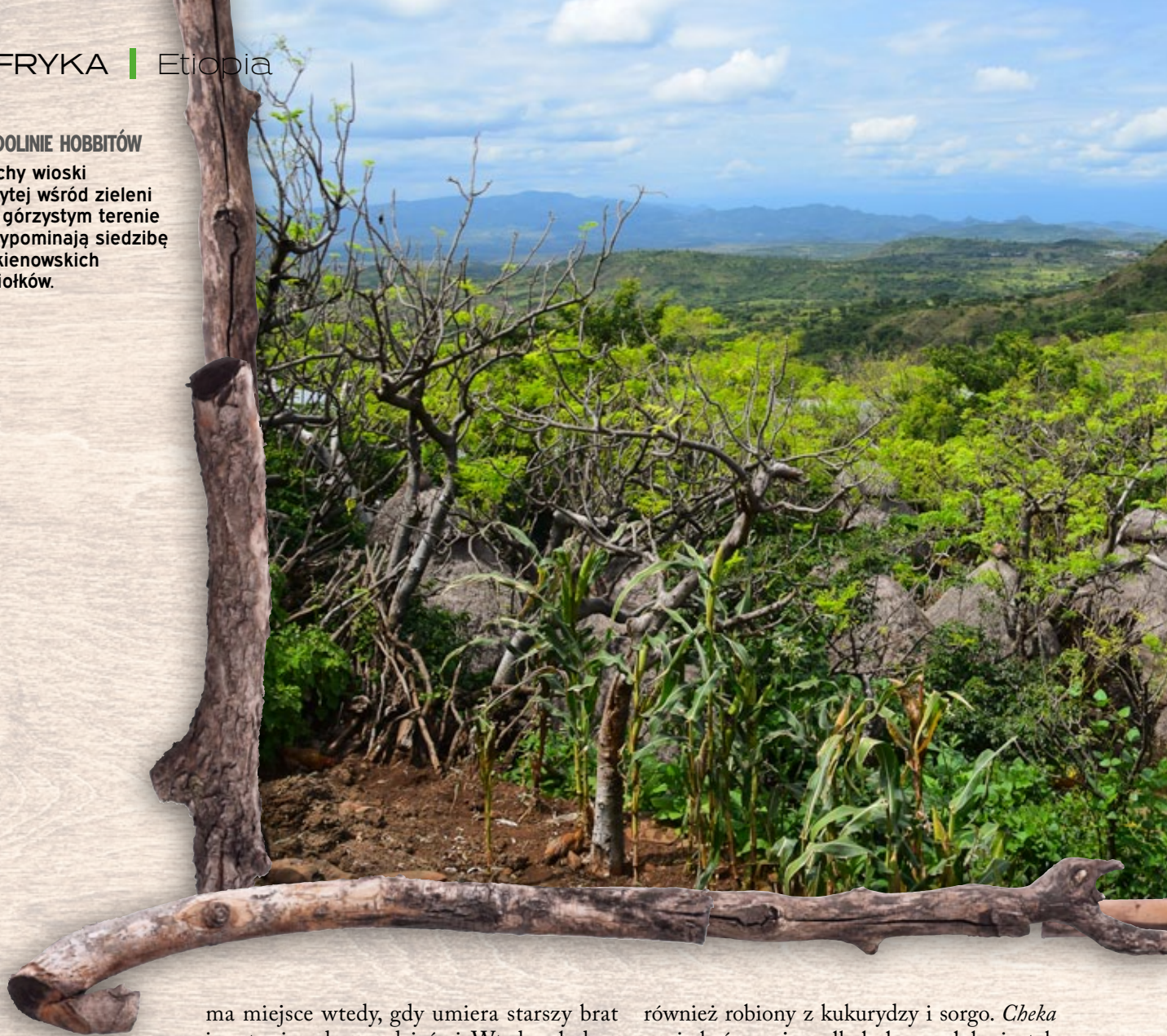
Dziewczynki uważa się za pełnoletnie w wieku 16 lat, wtedy mogą wychodzić za mąż. Konso bardzo pilnują, aby żenić się z kobietami spoza klanu, ci zaś, którzy łamią tę zasadę, są wyrzucani ze społeczności za „kazirodzczy związek z siostrą”. U Konso istnieją trzy typy małżeństw: z własnego wyboru, narzucone przez rodzinę oraz z konieczności. To ostatnie

SCHLUDNY KONSO

Mieszkaniec wioski przed swoim domem. Obejścia Konso są zawsze czyste i zadbane.

W DOLINIE HOBBITÓW

Dachy wioski ukryte wśród zieleni i w górzystym terenie przypominają siedzibę tolkienowskich niziołków.



ma miejsce wtedy, gdy umiera starszy brat i zostawia wdowę z dziećmi. Wtedy młodszy musi pojąć bratową za żonę i opiekować się nią i jej potomstwem.

Gdy mężczyzna chce prosić o rękę kobiety, przychodzi do jej domu z podarkami. Są to na przykład ubrania, koce, pieniądze lub miód, ale nigdy zwierzęta czy broń, jak to jest np. w przypadku plemienia Mursi, zamieszkującego Park Narodowy Mago w dolinie Omo.

NIEBOSZCZYK W MIODZIE

O ile w Etiopii głównym pożywieniem jest słynna *injera*, placek robiony na zakwasie z mąki teff, to Konso żywią się głównie kurkufą, czymś w rodzaju naszej owsianki powstającej na bazie kukurydzy i sorgo, podawanej z kapustą. Do picia jest *cheka*, lokalny napój,

również robiony z kukurydzy i sorgo. *Cheka* może być napojem alkoholowym lub nie, tak aby mogły go pić dzieci.

Jak dla większości ludzi w Etiopii, także dla Konso, jednym z większych zmartwień jest malaria, gorączka czy grypa. Najbliższy ośrodek zdrowia znajduje się 17 km od nich, a dotrzeć tam mogą głównie pieszo. Jest to nie lada problem, dlatego często leczą się sami. Otaczają ich bujne lasy, w których odprawiają praktyki lecznicze i rozmaite rytuały mające pomóc choremu. Czasami się to udaje, bo organizm sam jest w stanie pokonać chorobę, a czasami niestety nie.

Konso w trochę bulwersujący sposób chowają swoich zmarłych wodzów. Zwłoki są mumifikowane. Przedtem jednak ciało zostaje otwarte, wnętrzności wyjęte i – razem z oczami – włożone do garnka. Otoczone miodem są



FOT. ALICJA KUBIAK I JAN KURZELA

FOT. ALICJA KUBIAK I JAN KURZELA

trzymane tam przez 9 lat, 9 miesięcy, 9 tygodni i 9 dni. Podobnie dzieje się z zaszytym już ciałem – również jest mumifikowane miodem i także musi minąć 9 lat, 9 miesięcy, 9 tygodni i 9 dni, aby mogło zostać pochowane. Liczba 9 jest dla Konso magiczna. Przez ten czas zwłoki są od czasu do czasu myte i czesane. Wtedy wioską rządzi rada starszych, a wszyscy mieszkańcy utrzymują, że wódz jest... po prostu chory. Dopiero w dniu pogrzebu nowym wodzem staje się najstarszy syn zmarłego.

Sama ceremonia pogrzebowa nie jest już aż tak intrygująca. Przedstawiciele wszystkich klanów w obrębie jednej wioski zbierają się razem, piją piwo i tańczą. Następnie ciało wodza jest zakopywane w pobliskim lesie i nigdy potem nie jest już odwiedzane. Wódz, który specjalnie zasłużył się dla wioski, otrzymuje totem, czyli swoją podobiznę wyrzeźbioną

w drewnie. Jest przedstawiany na niej zazwyczaj jako postać w centralnym miejscu, otoczona członkami rodziny. Często również rzeźbi się zabite przez niego dzikie zwierzę. Totem nazywa się *waka* i jest stawiany w miejscu pochówku. Dlatego w lasach na terenach Konso często można się natknąć na takie rzeźby.

Obecnie Konso w większości są protestantami i opisane wcześniej traktowanie zwłok oraz ceremonia samego pogrzebu są surowo zakazane. Obowiązująca religia nakazuje pochować zmarłych od razu i tylko w przypadku osób starszych można odczekać jeden dzień, a następnie owinąć zmarłego w skórę krowy i zakopać. Jednak ci, którzy pozostali animistami, nadal propagują dawny sposób pochówku.

Konso jest niezwykle ciekawym ludem, który warto odwiedzić podczas pobytu w Etiopii. Jeśli ktoś nie jest zainteresowany mroczniejszą stroną ich obyczajów, czyli pogrzebami, mumiami i... miodem, może skupić się choćby na niepowtarzalnej zabudowie wiosek, wczuwając się w niezwykle klimat tego miejsca. Nie będzie żałował.

Najczęściej odwiedzane przez turystów wioski to Mecheke, Dokatu, Gamole i Buso. Ich mieszkańcy są pozytywnie nastawieni do przyjezdnych. Jest tam zupełnie bezpiecznie i spokojnie. Każdy może przyjechać i poczuć się jak w krainie hobbitów. Dokładnie tak jak my. ○

TAKI TOTEM

Wykonana w drewnie podobizna zmarłego wodza – zawsze znajduje się on w centralnej części rzeźby, otoczonej członkami rodziny. Taki totem nazywa się *waka* i jest ustawiany w lesie, w miejscu pochówku.



Alicja Kubiak i Jan Kurzela

Pasjonaci, autorzy książek podróżniczych. Wędrują bezdrożami i starają się docierać w trudno dostępne tereny. Niedawno wrócili z Papui Zachodniej. Ostatnio wydali książkę „Indonezja. Ludożercy wczoraj i dziś”.

GÓRY FIGURATYWNE

Okolice Tlayacapan to wieniec niewysokich, malowniczych gór, które przybrały formy zarówno ludzkie, jak i zwierzęce. Miejscowi każdą z nich przypisywali innemu bóstwu. Do dzisiaj opowiada się o ołtarzach kultowych usytuowanych przed wiekami na przełęczach lub szczytach.

WSZYSCY BOGOWIE TLAYACAPAN

Maria Giedz



Miasteczko leży 90 km na południe od miasta Meksyk. Kręcono w nim wiele meksykańskich i amerykańskich filmów. To miejsce niezwykle, choć w przewodnikach nie ma o nim nawet wzmianki. Może dlatego, że Meksyk jest dużym państwem i ma sporo innych miejscowości godnych polecenia. W Tlayacapan poczuwamy, jak starożytność przeplata się ze współczesnością.

WTlayacapan (którą to nazwę w języku nahuatl należałoby przetłumaczyć jako „Nad nosem ziemi” albo „Granica ziemi”) nie ma tłumów zwiedzających, miejscowość jest cicha, o umiarkowanym klimacie, z pięknymi widokami. Odległość od dymiącego i plującego czerwoną lawą Popocatepetl (5452 m n.p.m.), drugiego co do wysokości meksykańskiego wulkanu, wynosi zaledwie 60 km. Jednak mieszkańcy Tlayacapan

FOT. MARIA GEDZ



FOT. MARIA GEDZ

KAPLICA ZAŚNIECIA

Położona na uboczu i wzniesiona w miejscu przedchrześcijańskiego ołtarza. To wokół kaplicy Zaśnięcia Matki Boskiej w czwarty piątek Wielkiego Postu odbywają się tańce zwane *jaripeos*, przypominające zachowania byków, podczas których kopie się i wierzga.

nie boją się „wojownika” – rozgoryczonego po utracie ukochanej i zamienionego przez bogów w górę. Są bowiem chronieni przez kilkudziesięciometrowego Chrystusa rozpiętego na krzyżu, a wykonanego przez siły natury na wielkiej skale wznoszącej się od zachodu i oddzielającej miasto od reszty świata.

Mają też innych bogów, którzy chronią ich domostwa oraz ziemie. Tak się bowiem złożyło, że wzgórze otaczające miasteczko przybrało formy zarówno ludzkie, jak i zwierzęce, więc przypisano je starożytnym bóstwom z czasów, zanim dotarli tutaj Hiszpanie. A i ci z kolei zadbali, aby także Bóg przywieziony przez nich z Europy chronił to miejsce na Ziemi.

MIASTECZKO KAPLIC

W Tlayacapan znajduje się zespół sakralnych budowli doby kolonialnej, który

stanowi wzorcowy przykład działalności misyjnej zdobywców Meksyku – wpływającej na zmianę kultury, obyczajów i sposobu myślenia ludności.

W latach 1534–1574 mnisi ze zgromadzenia Zakonu Świętego Augustyna, w ramach „duchowego podboju” – tak miejscowi nazywają czasy chrystianizacji – wybudowali kościół wraz z klasztorem św. Jana Chrzciciela. Powstał on dokładnie w miejscu, w którym stał ołtarz poświęcony bogini Tonantzin, utożsamianej przez Azteków z Matką Ziemią, a po wprowadzeniu chrześcijaństwa – z Matką Boga (Matką Boską), nazywaną przez tamtejszą ludność Naszą Wielką Matką.

Zanim jednak do Tlayacapan dotarli Hiszpanie, miejscowość ta, już jako miasto istniejące co najmniej od 1400 r., była ważnym centrum handlowym na szlaku pomiędzy Tenochtitlán (stolicą Azteków, którą po

zburzeniu i zdobyciu przez Hiszpanów przemianowano na miasto Meksyk) a południem kraju. Archeolodzy jednak twierdzą, że teren był zamieszkały znacznie wcześniej, bo jakieś 1500 lat p.n.e. Już wówczas znajdowało się tam ważne centrum religijne.

W czasach przedhiszpańskich Tlayacapan był podzielony na cztery części – zgodnie z głównymi kierunkami świata. Były to dzielnice, zwane *calpullis*, zamieszkałe przez cztery różne plemiona, albo raczej klany. Każde *calpullis* było odpowiedzialne za kult innego bóstwa. Hiszpanie, chcąc respektować ten układ, zachowali podział na dzielnice, a miejsca kultu przedchrześcijańskich bóstw zamienili na cztery główne kaplice, zwane kaplicami głowy danego rodu.

I tak w zachodniej części miasta, w miejscu składania ofiar starodawnemu bóstwu, powstała kaplica Matki Boskiej Różańcowej. Do dzisiaj mieszkańcy wierzą, że rozbrzmiewające

z tej kaplicy dzwony chronią ludzi przed głodem. Na północy wzniesiono kaplicę św. Anny, z której co roku wyruszają pielgrzymki do Czarnego Chrystusa w Chalma – drugiego po Guadalupe najważniejszego w Meksyku i Ameryce Centralnej sanktuarium, ale nie maryjnego, lecz chrystologicznego. Z kolei na południu znajduje się kaplica Jezusa Ukrzyżowanego, zwana też kaplicą krzyża, z wizerunkiem Czarnego Chrystusa (Pan z Chalma). Na wschodzie wzniesiono kaplicę św. Jakuba. Do głównych przypisano kaplice rodzinne, a także kaplice z nimi powiązane. W ten sposób powstało ich 26 (do dzisiaj zachowało się 18). Całość tworzy wspaniały układ urbanistyczny.

Niektóre z kaplic są budowlami prostymi, skromnymi. Inne mają bogate zdobienia, dodatkowe wieżyczki, piękne frontony. Do niektórych wchodzi się przez ozdobne bramy, jak np. do kaplicy św. Jakuba w starej dzielnicy



JAKUB W ODNOWIE
Kaplica św. Jakuba w starej dzielnicy Texcalpa, w której przez setki lat mieszkał czarownik. Jest zaliczana do najpiękniejszych w mieście i właśnie pieczołowicie odnawiana.

Texcalpa, w której przez setki lat mieszkał ważny czarownik. Jakubowi są podporządkowane kapliczki: Narodzenia, Zwiastowania oraz, niestety całkowicie już zrujnowana, kaplica Królów.

Wszystkie one zostały podporządkowane najważniejszemu centrum religijnemu, czyli kościołowi św. Jana Chrzciciela, którego konstrukcja została oparta na świętej liczbie 12 (dwanaście: kątów, drzwi, ścian, warstw fundamentu...). Ma to symbolizować harmonię, doskonałość, Boży porządek. Nawiązuje do opisu idealnego świętego miasta z Apokalipsy św. Jana (Ap 21,10–16). Wnętrze świątyni jest bardzo skromne, jednonawowe, sklepione kolebką, ze ścianami pokrytymi delikatnymi malowidłami. Bogatszy jest klasztor, z wewnętrznym dziedzińcem otoczonym krużgankami. Znajdujące się w nim malowidła to wspinała Biblia pauperum, czyli Biblia dla ubogich.

Cały kompleks architektoniczny, a więc kościół wraz z wieńcem kaplic rozlokowanych niekiedy w odległości kilku kilometrów od niego, w 1994 r. został wpisany na listę dziedzictwa UNESCO. Niestety, wiele tych obiektów zostało znacznie uszkodzonych podczas trzęsienia ziemi 19 września 2017 r. Dzisiaj są odbudowywane za pieniądze rządu Meksyku.

PRZEBIERANIE I INNE OBRZĘDY

W pierwszym okresie panowania Hiszpanów rdzenni mieszkańcy Tlayacapan co prawda przychodzili modlić się do zbudowanych przez zakonników kaplic, ale czcili w nich nadal swoich bożków, jak np. Yacatecuhtli – bóstwo handlu. W najróżniejszych procesjach nosili wprawdzie figury europejskich świętych, ale wkładali pod nie figurki swoich dawnych bogów. I do dzisiaj niektóre postacie świętych są



FOT. MARIA GEDZ

MATKA BOSKA PRZYDOMOWA

Podobizna Matki Boskiej z Guadalupe wykonana techniką *azulejo* (na ceramicznych płytkach). Zdobí mur jednego z zamożniejszych domostw w Tlayacapan.



FOT. TOBBY DAGAN - SHUTTERSTOCK

utożsamiane z nimi. Takim klasycznym przykładem jest Matka Boska, której kult rozwinął się na bazie kultu Matki Ziemi.

Niektóre obrzędy chrześcijańskie łączy się z tymi z czasów przedkolonialnych, chociażby bardzo rozbudowany tutaj kult zmarłych, połączony z ekspozycją czaszek i dzieleniem się jedzeniem oraz alkoholem z duszami nieżyjących. Interesującym zwyczajem jest mistyczny taniec wykonywany przy niektórych kaplicach. Od pierwszego piątku Wielkiego Postu do niedzieli wokół kaplicy Jezusa Ukrzyżowanego odbywają się tańce w rytm melodii z czasów przedhiszpańskich, a towarzyszą im... fajerwerki. Również w Wielkim Poście tańczy się wokół kaplicy Zaśnięcia Matki Boskiej – ta uroczystość rozpoczyna się w czwarty piątek Wielkiego Postu i trwa do niedzieli. Najczęściej jest to forma tańca jaripeos, przypominającego taniec byków.

Tlayacapan jest też znane z tańca chinelo (przebieraniec), który tutaj właśnie się narodził, a potem rozprzestrzenił na inne

miejsowości stanu Morelos. Jest prezentowany w okresie karnawału, na kilka dni przed środą popielcową, kończy się w nocy we wtorek albo nad ranem w środę – tak aby wędrując przez miasteczko tanecznym krokiem, zdążyć do kościoła, gdzie należy się poddać obrzędowi posypania głowy popiołem. Termin karnawału jest zbieżny z pięcioma dniami międzykalendarzowymi roku tropikalnego w kalendarzu azteckim, który składał się z 360 dni. Różnicę pięciu dni Aztekowie wykorzystywali na zabawę i refleksję. To był też jedyny wolny czas, w którym hiszpańscy najeźdźcy pozwalali bawić się miejscowej ludności.

Do dzisiaj w Tlayacapan mieszka kilka rodzin, które trudnią się przygotowaniem stroju *chinelo*, czyli: długiej biało-niebieskiej tuniki, wykonanej z lejącej tkaniny, maski szczelnie zakrywającej twarz, dużego kapelusza z pióropuszem oraz rękawiczek. Najbardziej klasyczny taniec chinelo polega na wyśmiewaniu Europejczyków, ich pięknych ubrań, brody, jasnej skóry. Towarzyszy mu

TANIEC Z PRZEBIERAŃCAMI
Chinelos (przebierańcy) na ulicach meksykańskiego miasta San Miguel de Allende. W Tlayacapan, miejscu narodzin tańca chinelo, jest on prezentowany w okresie karnawału tuż przed Wielkim Postem. Jego uczestnicy noszą charakterystyczne tuniki, wspaniałe wielkie kapelusze z pióropuszami, maski z długimi brodami i rękawiczki.



FOT. MARIA GEDZ

KOLOROWA PAMIĘĆ

Uliczka w Tlayacapan, z okazji Święta Zmarłych, które trwa tutaj kilka dni, została przyozdobiona dekoracją z wielobarwnych wycinanek. Na stronie obok – miejscowy cmentarz, gdzie dominują kolorowe nagrobki oraz kwiaty.

specyficzna muzyka, wygrywana na instrumentach dętych i perkusyjnych. Najbardziej znaną grupą w stanie Morelos, istniejącą od 1870 r. i wykonującą tę muzykę, jest Banda Brigido Santamaria de Tlayacapan Morelos.

Specjalnie na karnawał przygotowuje się też różne potrawy, znane jedynie w tym regionie. Jest to np. zielone *mole* – pikantne danie z kurczakiem, zielonym pomidorem, komosą piżmową, *fruta de horno* („owoc piekarnika”) – czyli ciasteczka z mąki kukurydzianej z cynamonem i wanilią, a także specyficzny chleb.

MIEJSCE, GDZIE ZATRZYMAŁ SIĘ CZAS

W czasach prehiszpańskich Tlayacapan słynęło z wyrobów ceramicznych, o czym wspominają archeolodzy prowadzący wykopiska w okolicach miasteczka. Do dzisiaj kilka rodzin trudni się lepieniem garnków, doniczek, naczyń. Jedna z nich zajmuje się

wykonywaniem zestawów figurek glinianych, których używa się w rytualnym leczeniu. Są to postacie przedstawiające osobę chorą oraz *curandero*, czyli szamana, uzdrowiciela. Według lokalnej tradycji wiele chorób wynika ze „złego powietrza” albo z braku poszanowania natury. Aby odgonić chorobę, najlepiej wybrać się z taką figurką do jednego z okolicznych wąwozów lub wejść na wzgórze i złożyć ofiarę z jedzenia czy kwiatów. Można też postawić krzyż albo pomodlić się przy krzyżu już stojącym. Często do takiej modlitwy używa się alkoholu, polewając nim ziemię, czyli dzieląc się napojem z Matką Ziemią.

Poza świętami i karnawałem w Tlayacapan niewiele się dzieje. Codziennie o poranku przed budynkiem miejscowego magistratu kilka osób oczekuje na propozycję pracy. Może ktoś ich wynajmie do robót polowych gdzieś w gospodarstwie? Bo okoliczni mieszkańcy od setek lat utrzymują się z rolnictwa. Uprawiają głównie pomidory, kukurydzę, fasolę,



dynię, ogórki i oczywiście kaktus nopal – jedną z najzdrowszych roślin na świecie. Właśnie z nopalu miejscowe gospodynie przyrządzają znakomitą zupę. Można jej skosztować na lokalnym *mercado* (targowisku).

Kościół i kaplice to nie wszystko, co warto zobaczyć w Tlayacapan. Nieopodal magistratu stoi nietypowa XVI-wieczna budowla z podcieniami, przypominająca nieco krakowskie sukienice w miniaturze. Miejscowi nazywają ją La Cerería (Fabryka Świec), gdyż przez wiele lat funkcjonowała tam fabryka wosku i świec. Jednak pierwotnie była to siedziba pełnomocnika rządu Hiszpanii. W XVII w. właśnie w tym budynku powstała pierwsza dla obu Ameryk wytwórnia wyrobów z wosku.

Ponieważ Tlayacapan znajdował się na ważnym szlaku handlowym, każdy, kto wędrował z północy na południe lub odwrotnie, zaopatrywał się w świece, a także w piękne figurki z wosku. W czasach rewolucji meksykańskiej (lata 1910–1917) La Cerería służyła

za koszary dla żołnierzy Emiliano Zapaty. Obecnie znajduje się tam centrum kultury, w którym odbywają się warsztaty, spotkania i najróżniejsze zajęcia – od nauki angielskiego, czy języka nahuatl, po malowanie i grę w szachy. Budynek był też często wykorzystywany podczas kręcenia filmów.

W miasteczku jest wiele urokliwych miejsc. Na murach domostw można znaleźć miniaturowe *azulejos* – cienkie ceramiczne płytki z wyobrażeniem Matki Boskiej albo któregoś ze świętych. W arkadach bram prowadzących do posesji widać niewielkie, dekoracyjne dzwonki. Można też wybrać się na miejscowy cmentarz pełen kwiatów. Albo na okoliczne wzgórze, skąd widać rozległą dolinę z miasteczkiem zamieszkanym przez niecałe 18 tys. osób.

Po gwałnym Ciudad de México, Puebli lub innym dużym, meksykańskim mieście, Tlayacapan jawi się jako miejsce, w którym zatrzymał się czas. ○



Maria Giedz

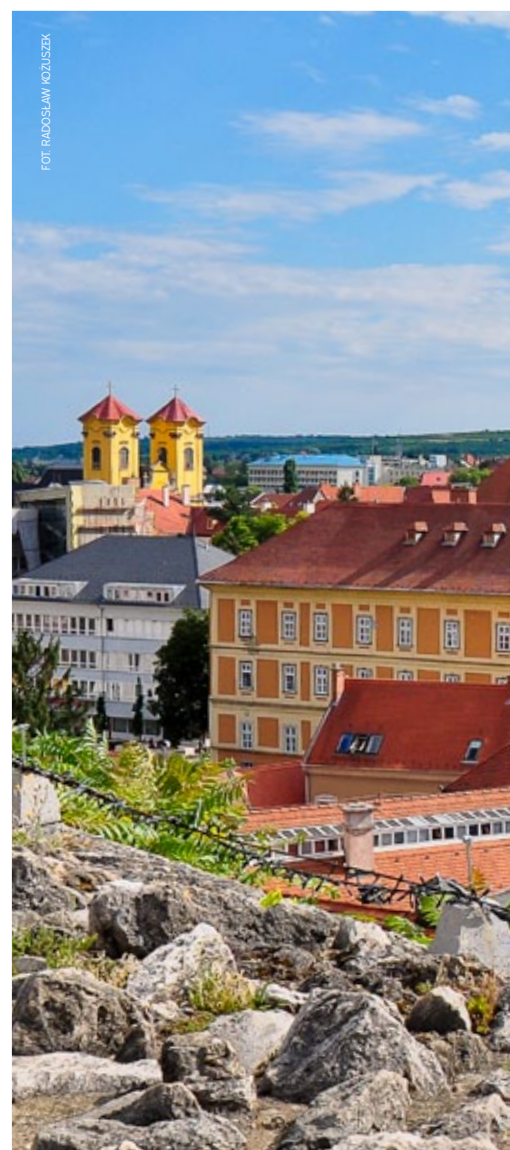
Dziennikarka, podróżniczka, doktor politologii, nauczyciel akademicki. Przewędrowała kilka kontynentów, napisała wiele reportaży, w tym z rejonów objętych działaniami wojennymi (Irak, Balkany, Syria). Znawczyni problematyki kurdyjskiej, autorka książek: „Grabarka, sanktuarium Kościoła prawosławnego” (1987), „Wzwał kurdyjski” (2002), „Kurdystan, bez miejsca na mapie” (2010), a także najnowszej publikacji „Pomorze mniej znane” (2018).

SMAK GORĄCY JAK CZARDASZ

Radostław Kozuszek

Rozpalona, sycąca, ostra, ciepła i aromatyczna. Kuchnia węgierska jest jak piękna Węgierka nalewająca wino czy jak czarnooki Madziar serwujący najprzedniejsze w świecie salami. Kuchnia węgierska jest jak rozpalony namiętnością czardasz. Gdy zaczniesz w niej smakować, nie możesz przestać.

Dla przeciętnego Europejczyka kuchnia z kraju Madziarów oznacza gulasz i leczko. Niestety ani jedno, ani drugie danie serwowane w Polsce czy na zachodzie Europy nie przypomina oryginału. Żeby zasmakować w węgierskich specjach i zrozumieć lokalną kuchnię, trzeba zaplanować wakacje w kraju naszych bratanków z południa. Budapeszt jest wisienką na węgierskim torcie, dlatego lepiej zostawić go na deser. Na początek warto



FOT. RADOSŁAW KOZUSZEK

wybrać się na Węgry południowe – krainę „czerwonego złota”, czyli papryki.

PAPRYKOWE POŁUDNIE

Bliskość terenów Segedyna z ówczesnymi terenami podbitymi przez Turków zaowocowała nie tylko słabością Madziarów do kawy i chałwy, ale przede wszystkim do tureckiej papryki. To ona wraz z cebulą, pomidorami i ciemnymi mięsami wyznaczyła dzisiejszy węgierski smak. Do tego kompletu należy jeszcze doliczyć kapustę, por, seler i zioła, które na Węgry trafiły wraz z Beatrycze Neapolitańską.

Cały ten miks warzyw i mięs ma stałe miejsce w żeliwnym kociołku zwanym bogracz. To właśnie w nim przygotowuje się znaną na całym świecie zupę gulaszową (*gulyás*). W jej skład wchodzi: papryka, cebula, mięsa

i sproszkowana, słodka papryka, która służy do zagęszczenia i zabarwienia dania. Według tradycji wszystkie dania, które warzy się w bograczu, powinno przygotowywać się na wolnym powietrzu, nad ogniskiem. W tym celu stawia się nad palącymi się drewnami trójnogi stelaż, w którego środku przymocowuje się bogracz. Delikatny ogień, który jest rozpraszany przez wiatr, powoduje, że potrawy w kociołku gotują się bardzo długo, ale są niepowtarzalne w smaku. Rozproszony ogień gwarantuje nie tyle równe ugotowanie mięsa, ile maksymalne wydobycie i zachowanie aromatu wszystkich warzyw. Nawet w restauracjach, gdzie przygotowuje się dania w bograczu, kociołek wieszany jest w kominku i dmuchawami rozprasza płomień.

W Polsce węgierską zupę gulaszową zazwyczaj nazywa się mianem owego kociołka,

MIASTO BYCZEJ KRWI

Eger ołśniewa barokowym starym miastem i położonym powyżej zamkiem. W okolicach wytwarza się czerwone wino Egri bikavér. Na zdjęciu rynek z kościołem minorytów.





WODA MINERALNA. CIEPŁA
W Budapeszcie,
 jak w żadnej innej
 europejskiej stolicy,
 można w wielu
 miejscach pławić się
 w mineralnych wodach
 termalnych. Na zdjęciu
 Széchenyi gyógyfürdő.
 Budapesztańskie łaźnie
 wyglądają czasem
 jak pałace.

czyli bograczem. Z kolei nasz polski gulasz na Węgrzech nosi nazwę *pörkölt* i jest modyfikacją *gulyás*. W jego skład wchodzi obsmażone kawałki ciemnego mięsa, duszone w niewielkiej ilości sosu. Porkolty różnią się wielkością kawałków mięsa, zawierają dodatek pokrojonych w kostkę ziemniaków czy leca i są podlewane większą lub mniejszą ilością wody. Z kolei wspomniane leczo (*lecsó*) na Węgrzech jest traktowane jako baza warzywna do przygotowania wielu dań i w oryginale powinno się składać jedynie z papryki, cebuli i pomidorów.

Paprykarze (*paprikás*), podobnie jak porkolty, są modyfikacją *gulyás*, jednak w ich wypadku pod koniec duszenia dodaje się kwaśną śmietanę. Z kolei tokanie (*tokány*) charakteryzują się tym, że pokrojone w paski mięso mocno posypuje się papryką i pieprzem, uzyskując w ten sposób pikantny sos.

Segedyn jest trzecim największym miastem Węgier i właśnie tu znajduje się najznamienitsza budowla węgierskiej secesji – pałac Reöka. Jej niepowtarzalna, kwiatowa ornamentyka

elewacji łagodnie przechodzi do wnętrza, modelując klatkę schodową w kształt przypominający rozchylony kielich kwiatu irysa. Ta niesamowita budowla stanowi dopełnienie kształtu miasta, które uznaje się za najlepiej zaprojektowane i utrzymane na całych Węgrzech. Godny uwagi jest także gigantyczny ratusz oraz kompleks łaźni miejskich.

Wieczorem, po intensywnym zwiedzaniu, można rozkoszować się smakiem leca z ryżem, segedyńskiego gulaszu przygotowanego z mięsa jelenia lub mieszanką smażonych mięs i warzyw zwaną *bogdányi*. Inną specjalnością kulinarną Segedyna jest zupa rybna zwana *halászlé*. Przyrządza się ją z mięsa karpia i sumów łowionych w rzece Cisa oraz cebuli, papryki i pomidorów.

W związku z bliskością serbskiej Wojwodiny w Segedynie można także znaleźć gros potraw wywodzących się z terenów dzisiejszej Serbii. Wybornie smakują okopcone na grillowym ruszcie *ćevapčići*, czyli wałeczki z mielonego mięsa, a także wytrawne naleśniki napełnione farszem mięsnym i suto posypane

tartym owczym serem. Na deser z kolei warto spróbować naleśników po subotyńsku. Wypełnione farszem z siekanych jabłek, podawane czasem z gorącym sosem waniliowym lub polewą karmelową i czekoladową, przygotowaną z gęstej śmietany, idealnie komponują się z miejscowym winem pochodzącym ze szczepów kadarka.

OSTATNI STEP EUROPY

Płaski, trawiasty teren, po którym stada wielkorogiego szarego bydła, owiec i włochatych świń poganiane są niezmiennie od wieków przez konnych pasterzy. A do tego bielejące chmary gęsi, tuczonych z myślą o ich aksamitnych wątróbkach. Tak wygląda Hortobágy – ostatni step Europy, zwany z węgierskiego pusztą. Aby znaleźć się w centrum pusztzy, należy wybrać się w dwugodzinną podróż pociągiem z Budapesztu i wysiąść „w polu” na stacji Hortobágy.

Kulinarną specjalnością tych terenów są kielbasy i salami – wędliny wytworzone z krojonej ręcznie najlepszej gatunkowo wieprzowiny ze świń mangalica i tłuszczu. Skład przypraw dodawanych do mięsa jest tajemnicą, tak samo jak przygotowanie charakterystycznej białej skórki, w którą jest wkładane mięso. Najlepsze salami po uwędzeniu powinno dojrzewać przynajmniej trzy miesiące. Z kolei przekąską, która może stanowić nawet danie główne, jest serwowany prawie w każdej karczynie i przydrożnym barze langosz. To smażone na tłuszczu drożdżowe placzki, najczęściej podawane



ze śmietaną lub sosem czosnkowym, a także serem, tartą cebulą lub innymi dodatkami.

Tereny Hortobágy są najlepszym miejscem na spróbowanie mięsa z rodzimych ras zwierząt gospodarskich. W kilku karczmach, zwanych z węgierskiego czardami (*csarda*), można zamówić przystawkę z pasztetu z wątróbek gęsi dunajskich, smażone kawałki szynki ze świń rasy mangalica, duszoną w pomidorach pieczeń z mięsa owiec racka czy gulasze sporządzone z mięsa szarego bydła węgierskiego lub bawołów indyjskich. Te ostatnie na ziemię dzisiejszych Węgrów przywędrowały ponad tysiąc lat temu z Azji wraz z Awarami.

SCHABOWY PO BAKOŃSKU

Czyli wieprzowina m.in. z pieczarkami, słoniną, pomidorami i papryką. Podana w towarzystwie kłusek z owczym serem.

ELEGANCJA

W najelegantszym mieście Węgier, Segedynie, nawet banalna wieża ciśnień ma niebanalny kształt.

WINA KRÓLÓW, KRÓLOWIE WIN

Węgierski socjalizm na długie lata wykluczył wyśmienite lokalne wina z międzynarodowego rynku. Wówczas



ich miejsce zajęły mniej znane trunki portugalskie, greckie czy nawet jugosłowiańskie. Dziś wina z kraju Madziarów z dużym rozmachem odzyskują należne miejsce na sklepowych półkach i w zasadzie nie ma już na świecie winiarni bez najznamienitszych węgryznow. W końcu to one były ozdobą szlacheckich stołów dawnej Rzeczypospolitej, nimi też zachwycali się carowie Rosji i król Francji Ludwik XIV, nazywając jedne z nich „winami królów i królowi win”.

znajduje się pod ziemią. Są to przepastne piwnice, gdzie przechowuje się setki tysięcy butelek z „królem win”.

Egerska bycza krew, czyli Egri bikavér, jest całkowitym przeciwieństwem złotego tokaju. Czerwone, wytrawne, gęste i ciężkie wino idealnie pasuje do dziczyzny, gulaszu czy wołowiny. Podobnie jak tokaj, Egri bikavér jest wytwarzany w winnicach skupionych obok miasta o tej samej nazwie, a głównym terenem przechowywania i toczenia win jest



SUCHEGO PRZESTWÓR OCEANU

Na ponad 80 tys. ha Parku Narodowego Hortobágy można spotkać: stada szarego bydła węgierskiego, owiec racka, bawołów indyjskich, koni, a także gęsi dunajskich.

Mowa o złocistych tokajach, które wspaniały, słodki smak zawdzięczają użyciu nie tyle specjalnych szczepów winnych, ile celowego ich porażenia odpowiednim gatunkiem pleśni. Owoce delikatnie się wysuszają, co powoduje duże nagromadzenie w nich cukru. Właśnie ten węgierski patent gwarantuje tokajom jedyny na świecie, niepowtarzalny smak i topazową, głęboką barwę.

Miejscowość Tokaj jest małym, ale nad wyraz urokliwym miastem, z cukierkowo odnowionym uliczkami obstawionymi barokowymi domami. Jednak prawdziwy skarb

podmiejska Dolina Pięknej Pani. Jednak Eger w przeciwieństwie do prowincjonalnego Tokaju może poszczycić się wielkim starym miastem, nad którym dominują barokowe wieże kościołów, turecki minaret oraz zamek. Gigantyczna budowla gra główną rolę w powieści narodowej „Gwiazdy Egeru”, będącej węgierskim odpowiednikiem Sienkiewiczowskiego „Ogniem i mieczem”.

W Egerze znajdziemy sporo restauracji, jednak te najlepsze są zlokalizowane w okolicach Doliny Pięknej Pani. Tu wśród zieleni krzewów winogron możemy raczyć się iście

królewskimi gulaszami z dzika podlewanymi winem, zupami gulaszowymi z dziczyzny oraz kotletami z jeleni z pobliskich Gór Bukowych. Na deser godne polecenia są egerskie rolady wypełnione winnym kremem oraz naleśniki po egersku z mielonymi orzechami, serwowane z czapą ubitego białka i polane gorącym sosem waniliowo-winnym.

Jeżeli mimo licznych darmowych degustacji trunków nie zostaliśmy „powaleni” smakiem, warto tuż przed snem zapamiętać

spirytusu. Jeżeli jest inaczej, palinka nie była przedniej jakości.

KRÓLEWSKA BUDA I SECESYJNY PESZT

Budapeszt zachwyca na każdym kroku. Jest największym miastem wszystkich krajów Europy Środkowej i kompletnie innym niż Warszawa, Praga czy Bratysława. Ma coś z Wiednia, Rzymu, Berlina, a nawet z Lon-



FOT. RAPOŚLAW WZUSZAK



FOT. RAPOŚLAW WZUSZAK

się w palince, czyli węgierskim mocnym, owocowym bimbrie. Najlepsze palinki są produkowane przez koneserów i do ich produkcji wykorzystuje się często śliwki, morele lub jabłka. Są też palinki produkowane na bazie poziomek czy malin, ale ich cena czasami może zwalić z nóg przed wychyleniem kieliszka. W przypadku palinki i pusty kieliszek ma wartość. Służy on do przeprowadzania „suchego testu”, który polega na powąchaniu opróżnionego i przez chwilę odstanego szkła. Zapach powinien przypominać woń owoców, a nie

dynu. Majestatyczny, barokowy zamek na Budzie, strzelisty kościół św. Macieja i bajkowa Baszta Rybacką widać z długiego nabrzeża Pesztu, a neogotycki, największy w Europie budynek parlamentu i wspaniałe secesyjne gmachy są z kolei idealnie widoczne z górującej nad Dunajem Budy. Jednak aby Buda z Pesztem tworzyły całość, miasto spięto kilkunastoma naddunajskimi mostami, z których najpiękniejszymi są: Łańcuchowy, Małgorzaty i Elżbiety.

Miasto jakby zapomniało o swojej wiejskiej przeszłości i podobnie jak Wiedeń wytworzyło

PUSZTAŃSKI JEŹDZIEC

W sezonie, kilka razy dziennie, specjalnie dla turystów, są organizowane wyprawy na pusztę, gdzie umiejętności jeździeckie prezentują lokalni pasterze.

KOLOROWY JEDNOGARNKOWIEC

Bogdányi to popularna na Węgrzech potrawa jednogarnkowa z wieprzowiny, boczku, kiełbasy oraz warzyw.

własną kuchnię, znacznie różniącą się od tej w pozostałej części Węgier. W Budapeszcie, koniecznie powinniśmy zasmakować w cudach, jakie tworzą miejscowi szefowie kuchni, łącząc smaki papryki, cebuli, wołowy i wieprzowiny z zachodnimi i wschodnimi nowinkami. Na najlepszą w mieście kaczkę warto udać się do zlokalizowanego w połowie drogi między parlamentem a katedrą Hungarikum Bisztró. Z kolei według miejscowych najsmaczniejsze i niedrogie lecza, porkoły i paprykarze serwowane z domowymi kluszciami podaje się w położonym blisko synagogi Frici Papa. Tam też zjemy jedną z najlepszych w mieście *somlói galuska*. Deser, w którego składzie znajdziemy nasączony rumem biały, kakaowy i orzechowy biszkopt, przygotowany z żółtek i mleka sos waniliowy, rodzynki, bitą śmietaną, polewę czekoladową oraz mielone orzechy.

Ilość wypieków, ciasteczek i ręcznie robionych konfetów nie ma sobie równej chyba



FOT. RADOSŁAW KOZUSZEK

na całym świecie. Budapesztańskim słodkim hitem jest tort Dobosa, składający się z płatów biszkoptowych, przełożonych kremem czekoladowo-orzechowym lub karmelowym ze szklistą glazurą na górze. Inną słodką ikoną miasta jest ciasto Rakoczy ze słodka pianą z białek, maślano-rumowy tort Esterhazy oraz tort Rigó Jancsi, noszący imię cygańskiego skrzypka żyjącego na przełomie XIX i XX w.

POŁOWCZANKA Z HOLLÓKÓ, A STRUDEL Z MAKIEM

...lub z wiśniami. To ciasto najlepiej smakuje we wsi Hollókő podawany przez gospodynię w tradycyjnym stroju ludu Połowców.



FOT. RADOSŁAW KOZUSZEK



FOT. RADOSŁAW KOZUSZEK



FOT. RADOŚLAW KOZUSZEK

Jest przygotowywany z ciasta biszkoptowego, kremu czekoladowego i dżemu morelowego. W ramach deseru na Węgrzech podaje się także purée z kasztanów jadalnych, serwowane z bitą śmietaną.

Na próżno Polakowi szukać znanego w naszym kraju wysadzanego wiśniami i nasączonego alkoholem tortu węgierskiego. Budapesztańscy cukiernicy proponują w zamian

ciasto nazywane czarnym lasem, w którym gorzkie kakao jest połączone z posłodzonymi kwaśnymi jagodami lub jeżynami. Dodatek alkoholu oraz słodkiego kremu zapewne zainspirował polskich cukierników do opracowania przepisu na tort węgierski. Z kolei najslynniejszymi węgierskimi ciasteczkami są oblewane marcepanem lub likierem mignony oraz zanurzane w czekoladzie okrągłe i przekładane marmoladą ciasteczka *isler*.

W stolicy bardzo popularne są także słodkie knedle z serem i owocami oraz naleśniki à la Gundel, nadziewane orzechami włoskimi i polane sosem czekoladowym. Innymi znanymi węgierskimi łakociami godnymi uwagi są: siedmiogrodzki kurtoskołacz (*kürtöskalács*) przypominający nieco sękacza, *rétes*, czyli strudel jabłkowy, węgierski kołacz z twarogiem, podobny trochę do naszego śląskiego kołacza, oraz makowe ciasto zwane *beigli*. Do słodkości idealnie pasuje perfekcyjnie parzona kawa oraz tokaj. ○

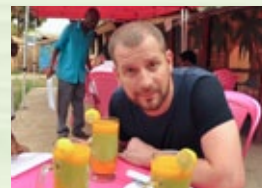
SMAK UTRACONEJ WOJWODINY

W Segedynie można spróbować wielu potraw wywodzących się z Wojwodiny, terenów dzisiejszej Serbii. Specjałem są naleśniki subotyckie nadziewane jabłkiem z cynamonem, polane sosem czekoladowym i karmelowym.



NAJWIĘKSZY PARLAMENT EUROPY

Do jego budowy użyto ponad 40 mln cegieł. Ma ponad ćwierć kilometra długości, a wysokość samej kopuły wynosi 96 m. Tu jest przechowywana węgierska korona oraz insygnia królewskie.



Radosław Kozuszek

Wykładowca akademicki. Prowadzi programy podróżnicze i kulinarne w Polskim Radiu PiK oraz Radiu Emaus. Autor licznych artykułów i przewodników turystycznych.

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

Z KOMPASEM

Kolejna edycja Rajdu na Orientację Z Kompasem odbędzie się w ostatni weekend maja w malowniczej gminie Krokowa. Okolice tej miejscowości oferują urozmaicony, polodowcowy krajobraz i piękne lasy – idealny teren do zabawy w orientację. Blisko stąd nad Bałtyk oraz nad drugą „wielką wodę” – Jezioro Żarnowieckie.

Organizatorzy szykują aż osiem pieszych i rowerowych tras o zróżnicowanym poziomie trudności. W bogatych pakietach startowych zawodnicy otrzymają m.in. pamiątkowe medale, imienne numery startowe, kolorowe mapy i wodoodporne karty startowe. Ponadto na wszystkich czeka prawdziwa uczta w rajdowym bufecie. www.zkompasem.pl



GETAWAY FESTIVAL

Gwiazdy polskiego outdooru, spotkania i prelekcje, warsztaty tematyczne, zajęcia w plenerze i pokazy filmów – od 17 do 19 maja w Centrum Wykładowym Politechniki Poznańskiej odbędzie się kolejna edycja Festiwalu Getaway. Wystąpią m.in.: Martyna Wojciechowska, Piotr Hercog, Mateusz Waligóra, Kamila Kielar, Beata Choma, Angelika Chrapkiewicz-Gądek, Marta Molińska oraz duet Monika Mądra-Pawlak i Jan Pawlak. Na kinowym ekranie pojawią się zagraniczne i polskie produkcje.

Festiwal to także świetna okazja do doświadczenia terenowych aktywności. Uczestnicy imprezy będą mogli wziąć udział w warsztatach i zajęciach w plenerze.

Organizatorzy pamiętają również o najmłodszych odkrywcach, na których będą czekać liczne atrakcje w Strefie Dziecka. Niezapomniane przygody będzie można przeżyć podczas spływu kajakowego, lotu balonem czy biegu na orientację. Dla odważnych – nocleg pod gołym niebem w WartaCamp – festiwalowym polu namiotowym w centrum miasta nad rzeką Wartą. www.getawayfestival.pl



KULINARNE PODRÓŻE ROBERTA MAKŁOWICZA

Robert Makłowicz to dziennikarz, podróżnik, autor książek i programów telewizyjnych o tematyce kulinarnej, kulturowej i historycznej. Pochodzi z rodziny o korzeniach polskich, ukraińskich, ormiańskich, węgierskich i austriackich. Pasjonuje się historią, zwłaszcza dziejami Europy Środkowej w dobie panowania Habsburgów. Pozostałe zainteresowania można nazwać szeroko rozumianą konsumpcją – od literatury, poprzez muzykę, po destylaty owocowe, wina oraz kuchnię. Spotkanie odbędzie się 26 maja w ramach 28. edycji Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami.



ZLOT BLOGERÓW W SZYMBARKU

W dniach od 31 maja do 2 czerwca odbędzie się Zlot Blogerów Turystycznych i Kulinarnych w hotelu Szymbark na Kaszubach, który ugości ok. 100 blogerów z Polski, Rosji, Ukrainy, Białorusi, Litwy, Czech, Słowacji, Niemiec, Norwegii, Szwecji, Danii, Francji, Hiszpanii, Wielkiej

Brytanii, Irlandii oraz Włoch. Organizatorzy chcą pochwalić się największymi walorami Kaszub: naturą, lasami, jeziorami, bliskością Trójmiasta, możliwościami uprawiania sportu, potrawami i browarem regionalnym, biesiadami, kulturą i tradycją regionu.

CENTRUM EDUKACJI I PROMOCJI REGIONU W SZYMBARKU

Zapraszamy do najbardziej wrażliwego i tętniącego życiem miejsca na Pojezierzu Kaszubskim



46 STOLIC EUROPY



Pomysł na odwiedzenie wszystkich stolic naszego kontynentu zrodził się w maju 2017 r. Miesiąc później udało się zarejestrować projekt do rekordu Polski. Tym samym dziesięcioletnia Asia Kordaszewska walczy o tytuł „Najmłodszej Polki, która odwiedziła wszystkie stolice Europy”. Po pierwszych dwóch latach mają z mamą Katarzyną na koncie 21 z 46 stolic Europy. Podróże zawsze realizują za pomocą własnych środków oraz w czasie wolnym od szkoły. Stawiają na budżetowe wędrowki. Śpią w hostelach, po miastach chodzą piechotą, próbują nowych smaków poza centrami. Na

maj mają zaplanowane kolejne stolice: Berno, Watykan i Rzym. Kierunki są uzależnione od tanich biletów. W tym roku chciałyby odwiedzić przynajmniej kolejne 9–10 stolic.



FOT. KATARZYNA KORDASZEWSKA



FOT. KATARZYNA KORDASZEWSKA



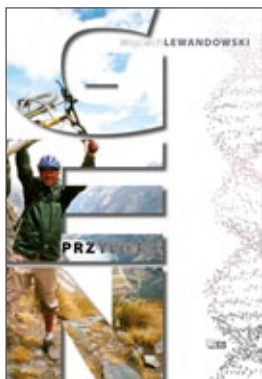
FOT. KATARZYNA KORDASZEWSKA

SPOTKANIA PODRÓŻUJĄCYCH KOBIET

Trzy dni opowieści o podróżach, rozmów w nieformalnej atmosferze, praktycznych warsztatów i wydarzeń towarzyszących, m.in.: bookcrossing książek podróżniczych, wycieczki po Gdańsku oraz konkursy. Tak zapowiada się program szóstej edycji TRAMPek, Spotkań Podróżujących Kobiet w Gdańsku, które odbędą się 24–26 maja w Europejskim Centrum Solidarności, Instytucie Kultury Miejskiej oraz kawiarni filmowej W Starym Kadrze. To jedyny w Polsce festiwal podróżniczy tworzony przez kobiety dla kobiet.

W programie tegorocznej edycji znalazły się praktyczne warsztaty, dotyczące m.in.: fotografowania smartfonem, tworzenia ciekawej opowieści, szoku kulturowego, podróży rowerowych oraz samoobrony. W dniu prelekcji pojawią się opowieści nie tylko o podróżach na emeryturze i z dzieckiem, ale także o pracy w drodze, o spotkanych kobietach i o tym, że nie zawsze wszystko wychodzi, jak powinno. trampki.travel.pl





GEN PRZYGODY

Tytułowy gen przygody to nie fikcja, ale potwierdzony naukowo fakt. Mowa o DRD4, czyli receptora dopaminy, odpowiedzialnym za pociąg do odkrywania nowego i nieznanego. Rodzi się z nim co czwarty przedstawiciel gatunku ludzkiego i prędzej czy później jego „nosiciel” przekonuje się na własnej skórze, z czym się wiąże ów przywilej.

Wojciech Lewandowski, niewątpliwie ciężko, nieuleczalnie i beznadziejnie chory na przewlekle objawiające się podróżowanie,

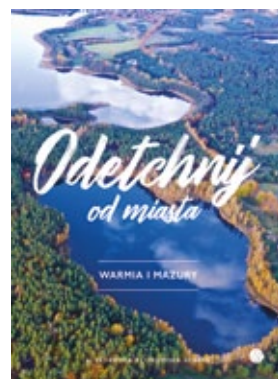
przez blisko 300 stron kusi, by ruszyć się, rozprostować kości i dać się ponieść DRD4. Książka, podzielona na 11 rozdziałów, stanowi swego rodzaju osobistą podróż autora przez kolejne ataki genu przygody. Wojciech Lewandowski zabiera czytelnika na przygodę w czasie i przestrzeni – wycieczkę dookoła świata z przystankami w ukończonych miejscach: od Uralu Subpolarnego przez Himalaje, Karakorum, Patagonię aż po najbliższy sercu pisarza Giewont. Każdy przystanek obfituje w interesujące refleksje na temat istoty środowiska przyrodniczego, ludzkiego zmagania się z trudami wędrówki oraz natury posiadania uaktywnionego lub nadaktywnego genu przygody. W książce nie zabrakło inspirujących fotografii i uwag natury geograficznej oraz historycznej. Wydawnictwo Stapis.

ODETCHNIJ OD MIASTA

Pensjonat w liczącym dwieście lat domu mieszczący się niedaleko farmy ślimaków. Toskania w pobliżu Morąga. Sala kinowa w lochach odbudowanego pałacu. Stylizowany na nowoczesną stodołę dom, który jest gwiazdą Instagrama. Leśne SPA i gospodarstwo rolne z dwusetką owiec tuż pod rosyjską granicą. Jeśli Warmia i Mazury większości mieszkańców Polski kojarzyły się tylko z noclegiem pod namiotem, ogniskiem i żaglówkami, to książka „Odetchnij od miasta” obala ten mit już na pierwszych stronach. Warmia i Mazury to bowiem miejsce, w którym zanurzyć się można na wiele tygodni, odkrywając wciąż nowe oblicza jednej z najpiękniejszych krain w Polsce.

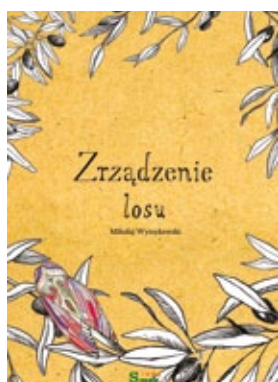
Praktyczne informacje dotyczące zakwaterowania, dojazdu lub lokalnych atrakcji Aleksandra Klonowska-Szałek przeplata rozmowami z gospodarzami – to w końcu ich charakter, na

równi z pięknem okolicy i klimatem domu, decydują o uroku danego miejsca. W przewodniku można przeczytać o miejscowych chcących dzielić się miłością do rodzinnych stron oraz uciekinierach z wielkich miast, którzy znaleźli tu swoje miejsce na ziemi. Gospodarze starych siedlisk zmienionych w domy gościnne przypominają swoim gościom, jak pachnie prawdziwy chleb, odtwarzają smaki i przywracają pamięć o lokalnych bohaterach. Wydawnictwo Buchmann.



ZRZĄDZENIE LOSU

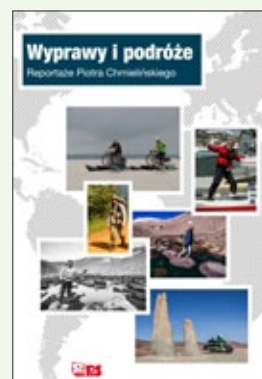
To powieść Mikołaja Wyrzykowskiego dla młodzieży i dorosłych, w której prawdziwa podróż przeplata się z literackimi opowiadaniem. To historia trójki przyjaciół zmęczonych ramami, w które ich włożono. Boją się przyszłości, która tonie we mgłę, czują się obco w świecie, gdzie marzenia są traktowane jak produkty w supermarkecie. Niedługo każdy będzie musiał wybrać w życiu kierunek, w którym pójdzie, jednak na chwilę obecną wszyscy błądzą w ciemności. Razem wyruszają w podróż do Francji: każdy szuka swojej drogi, dzielą chwile wątpliwości i wiary. Trójka przyjaciół włączy się drogami od Paryża aż do prowansalskiej winnicy, gdzie z dala od zgiełku wielkich miast odkrywają swój mały raj. Wydawnictwo Rudy Smok.



WYPRAWY I PODRÓŻE

Zbiór reportaży Piotra Chmielińskiego dokumentuje siedem ambitnych wypraw podróżniczych i eksploracyjnych, w których autor pełnił rolę koordynatora, doradcy i opiekuna, a także tych, w których sam brał udział. W książce znalazły się historie wszystkim znane, takie jak Druga i Trzecia Wyprawa Transatlantycka Aleksandra Doby, jak i te, o których wiemy nieco mniej, na przykład Wheelchair Trip – podróż po Ameryce Południowej na wózkach inwalidzkich Michała Worocha i Macieja Kamińskiego.

Dzięki Dawidowi Andresowi i Hubertowi Kisińskiemu dowiemy się, jak można pokonać Amazonkę rowem, a od Pete'a Caseya nauczymy się, że czasem warto rzucić wszystko i na dwa lata zniknąć w amazońskiej dżungli. W fascynujących obrazach Gabriele'a Croppiego odkryjemy Amazonkę w czerni i bieli, a za sprawą dwóch wypraw badawczych autora książki dowiemy się, gdzie leży prawdziwe źródło Amazonki. Wydawnictwo Stapis.



PRZYCHYLNÓŚĆ WIELKIEGO HOMARA

Michał Janik



ZDRADLIWE WODY

Widok ze zboczy The Storr na szczyty Red Cuillin. Tutejsze wody nie wybaczą błędów. W 2010 r. na mieliźnie ugrzązł HMS Astute, największy i najnowszy atomowy okręt podwodny Royal Navy.

FOT. MICHAŁ JANIK

SZUKAJĄC WODNEGO KONIA

Jak w każdym szanującym się szkockim jeziorze, w Loch Sligachan mieszka Kelpie. Stwór potrafi zmieniać postać, lecz najczęściej przybiera kształt wodnego konia.

FOT. MICHAŁ JANIK

Wyspa Skye leży u zachodniego wybrzeża Szkocji, w archipelagu Hebrydów Wewnętrznych. Na mapie przypomina wielkiego homara. Równie oryginalne jak kształt są jej krajobrazy. Aby je poznać, postanowiłem przejść 130-kilometrowy, nieznakowany szlak Skye Trail. Byłem przygotowany na słynną szkocką niepogodę oraz dokuczliwe meszki.

Szlak rozpoczyna się niedaleko północnego krańca wyspy – przylądka Rubha Hunish. Na drugim brzegu zatoki, na bazaltowej skale, zawisły nad morzem resztki zamku Duntulm, siedziby klanu MacDonaldów. Dochodzę do niewielkiego budynku na nadmorskim klifie. Wybudowany w 1928 r. jako punkt obserwacyjny straży przybrzeżnej, dziś jest jednym z ponad stu *bothies* – samoobsługowych schronów dla turystów. W środku znajduje się mikroskopijna kuchnia, miejsce do spania dla kilku osób i mały salonik. Za oknem widok na klifowe wybrzeże pełne raf, wysepek i zatok. Przy spokojnym morzu można stąd wypatrzeć wieloryby i rekiny olbrzymie, ale dziś jest zbyt wietrznie.

Pierwszy dzień wędrówki kończę z poczuciem niedosytu. Brakuje mi samotności – szlak prowadzi w pobliżu

drogi i zabudowań. Na szczęście jutro czeka mnie 25 km grzbietem Trotternish.

Z WIZYTĄ U STARCA

Pierwszy odcinek to tłoczna „ceprostrada” – licznych spacerowiczów przyciągają skalne formacje Quiraingu: Igła, Stół czy... Więzienie. Powstały za sprawą wielkiego osuwiska, które ciągnie się wzdłuż całego grzbietu. Kiedy tłum zostaje na przełęczy i parkingu, do wieczora wędruję wśród traw, łagodnym grzbietem od wschodu podciętym stromymi ścianami. Nocuję w zacisznej kotlinie u stóp ścian masywu The Storr. Naprzeciwko mozaika morza i gór: jezory wysp Raasay i Rona wrzynają się w cieśninę oddzielającą Skye od gór szkockiego Highlandu. Rano, zaledwie kilkaset metrów od zacisznego biwaku, wchodzi w tłum fotografujący 50-metrową skalną

KLIFY PÓŁNOCNE

Wybrzeże nieopodal Rubha Hunish. Najwyższe klify osiągają nawet 300 m wysokości.



kolumnę Old Man of Storr – kolejny obowiązkowy przystanek dla zwiedzających wyspę.

PANNY MACLEOD

Mijając dziesiątki turystów, postanawiam opuścić dwa kolejne odcinki szlaku. Kusi mnie zachodnia część wyspy i 20 km „najpiękniejszej ścieżki brzegowej w Wielkiej Brytanii”. Nie jest łatwo się tam dostać: tak Ramasaig, jak Orbst – początkowy i końcowy punkt wycieczki – to niewielkie osady, do których nie docierają autobusy, ale dzięki uprzejmości kierowców oszczędzam długiego dreptania asfaltem. Wybór okazuje się słuszny – cieszę się słońcem i pustką. Jedyne ślady cywilizacji to resztki dawnej wsi Lorgill, rzadko mijane płoty wyznaczające granice pastwisk oraz samotna *bothy*. Ścieżka zanika wśród traw i wrzosowisk. Wędrując krawędzią urwisk opadających do morza, przecinam kolejne doliny i grzbiety, podziwiam skalne mosty i wodospady. Na horyzoncie majaczą wzgórza Hebrydów Zewnętrznych. Wieczorem docieram do trzech wyrastających z morza iglic

– MacLeod’s Maidens, z których najwyższa, zwana Matką, osiąga 70 m wysokości.

Na szlak wracam przez Portree – jeden z najbezpieczniejszych portów całego zachodniego wybrzeża Szkocji. Nie zmienia to faktu, że kiedyś, by dopłynąć tu z Glasgow, żaglowce potrzebowały nawet dwóch tygodni. Na nabrzeżu w skalisty stok wtula się kilka kolorowych budynków, w jednym z nich znajduje się smażalnia ryb. Zapakowane w papierowy rożek *fish and chips* wzbudzają nie tylko mój apetyt. – *Bloody bastards* – rzuca jeden z przechodniów na widok mew zaciekle nurkujących w kierunku mojej głowy. Stara sztuczka znów działa: zaskoczony, uciekam pod dach, a sprytnie ptaki cieszą się dużą częścią mojego obiadu.

WOJNA O JEDNOOKĄ MARGARET

Autobus dowozi mnie do Sligachan. Przedemną spotkanie z masywem Black Cuillin.

MOST TELFORDA

Kamienną przeprawę na rzece Sligachan zaprojektował 200 lat temu sam Thomas Telford. Północny skraj masywu Cuillin tworzą (od lewej): Sgùrr nan Gillean, Bhasteir Tooth i Bruach na Frithe.



Nazwę zawdzięcza wulkanicznemu skałom o ciemnym zabarwieniu – bazaltom i gabro. Wprawdzie najwyższy szczyt, Sgurr Alasdair, osiąga zaledwie 992 m n.p.m., ale „kieszonkowy” masyw cieszy się renomą najhonorniejszego na całych Wyspach Brytyjskich. Travers 12-kilometrowej grani to marzenie wielu wspinaczy. Rozbijam namiot na kempingu. Nie ma wiatru, pojawiają się więc osławione meszki. Muszę przyznać, że o wiele liczniejsze i bardziej dokuczliwe były komary znad Czarnej Nidy, z którymi miałem do czynienia dwa tygodnie przed wyjazdem do Szkocji.

Nazajutrz ruszam „na lekko” na jeden z nielicznych dostępnych dla turystów wierzchołków – Bruach na Frithe. Ścieżka osiąga wierzchołek po 900 m podejścia. Jak wzrokiem sięgnąć – góry i woda. Ciemne, poszarpane turnie Black Cuillin kontrastują z jaśniejszymi, regularnymi stożkami Red Cuillin. W oddali widać The Storr i iglice MacLeod’s Maidens. Na horyzoncie – most, który w 1995 r. połączył wyspę z resztą Szkocji.

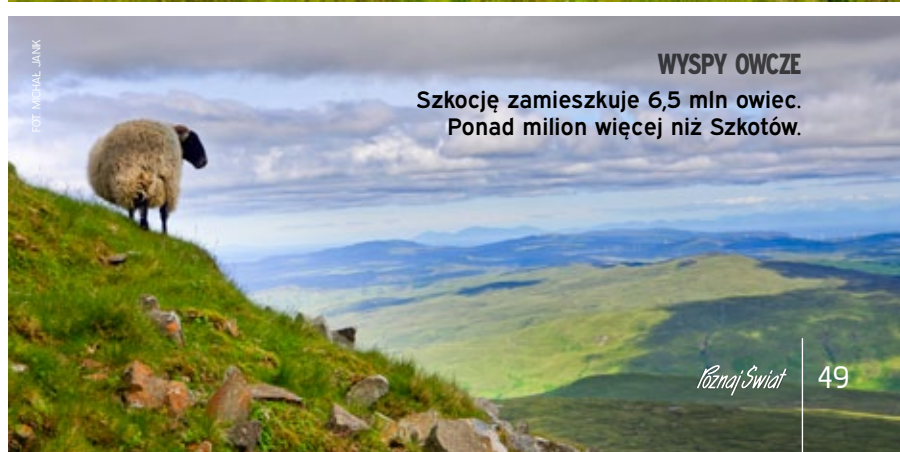
Nieopodal, w dolinie Coire na Creiche, w 1601 r. miała miejsce ostatnia bitwa tak zwanej wojny o jednooką kobietę. Kilka lat wcześniej Margaret MacLeod została wydana za jednego z MacDonaldów. Mariaż miał zakończyć krwawą walkę o dominację na wyspie, toczoną od kilku stuleci przez oba rody. Jednak kiedy po roku Margaret nie tylko nie wydała na świat potomka, ale i straciła oko, wygnano ją – podobno związaną – do swojej rodziny. Orszak tworzył jednooki osioł, prowadzony przez jednookiego sługę, a towarzyszył im pies – również bez oka. Dumni MacLeodowie nie mogli ścierpieć takiej zniewagi...

PLAŻE WŚRÓD SZCZYTÓW

Znów porzucam szlak. Obchodzę masyw Cuillin od zachodu, by przekroczyć go przez przełęcz o dźwięcznej nazwie Bealach Coire na Banachdich (860 m n.p.m.). Niestety, piękna pogoda w Szkocji nie może trwać wiecznie. Kiedy wieczorem rozbijam namiot, narastający wiatr zwiastuje zmianę. O świcie chmury zasłaniają górną część doliny, a ścieżka

SCHRONISKO GÓRSKIE NAD MORZEM

Nową *bothy* w zatoce Camasunary wznieśli w 2014 r. żołnierze Królewskiego Korpusu Inżynierów. Schronami od 1965 r. opiekują się wolontariusze z Mountain Bothies Association.



WYSPI OWCZE

Szkocję zamieszkuje 6,5 mln owiec. Ponad milion więcej niż Szkotów.



FOT. MICHAŁ JANIK

ŁADNE I DOSTĘPNE

Iglice Old Man of Storr. Dzięki widokowym walorom i łatwemu dostępowi z pobliskiego parkingu to najczęściej fotografowane miejsce na wyspie.

po obejściu wielkiego skalnego progu znika w piargach. Kamienne kopczyki kluczą między żebrami, inne prowadzą wprost w podszczytowe ściany. Wszystko tonie w obłokach. Kiedy aby zorientować się w swoim położeniu, ruszam na rekonesans bez plecaka, chmury na chwilę ustępują i dostrzegam, że jestem powyżej przełęczy – wąskich wrót między turniami. Schodząc, pokonuję kilka pionowych ścianek, na szczęście mam ze sobą linkę, dzięki której opuszczam plecak po skale.

Zejdźcie do jeziora Loch Coruisk – wciśniętego między góry trzykilometrowego pasa wody – to ponad 800 m w dół po usypistych piargach i grząskich moczarach. To właśnie dla niego zdecydowałem się na zejście ze szlaku. Walter Scott, autor m.in. „Rob Roy’a”, określał okolice jako „straszne miejsce”, według innych to „najdziwniejszy krajobraz w całej Szkocji”. Jestem skłonny przyznać im rację – ołowiane chmury zasłaniają mokre, czarne szczyty, gładkie fale rozbijają się o kamienistą, szarą



FOT. MICHAŁ JANIK

plażę. Chciałoby się napisać – surowa, wysokogórska okolica, gdyby nie to, że... jezioro leży właściwie na poziomie morza, z którym łączy je zaledwie kilkusetmetrowej długości rzeka Scavaig. U jej ujścia często wylegają się foki.

Przedemną decyzją, jak dostać się do sąsiedniej doliny, gdzie w zatoce Camasunary, nad samym brzegiem morza, stoi schron. Coraz silniej wieje i pada, więc rezygnuję z przejścia przez tzw. Bad Step – eksponowane skalne płyty zawieszane nad morzem. Po podejściu na grzbiet schodzę do doliny, która zamienia się w wielkie bagno. W *bothy* spotykam kilkanaście podobnie jak ja przemoczonych osób. Próżno tu szukać kominka czy pieca, ale wszyscy są szczęśliwi, że mają dach nad głową.

Deszcz przestaje padać następnego popołudnia. Ścieżką wiodącą trawiastym zboczem zdążam do Elgol. Camasunary żegna mnie widokiem morza, z którego wyrastają góry o prawie kilometrowej wysokości. Byłoby bajkowo, gdyby nie inne góry – plastikowych śmieci, które morze wyrzuca na brzeg. Za Elgol przez kilka godzin mozolnie okrążam zatokę Loch Slapin. Mijam Kilmarie, gdzie przez wiele lat Ian Anderson, lider i flecista zespołu Jethro Tull, prowadził hodowlę łososi. Niepewna pogoda sprawia, że rezygnuję z wejścia na szczyt Blà Bheinn. Szkoda, bo dzięki wysokości i położeniu to jeden z najlepszych punktów widokowych na wyspie.

DZIKOŚĆ Z ODZYSKU

Nazajutrz ścieżka schodzi na kamienistą plażę. Na czarno-brązowych, skalnych żebrach kwitną fioletowe kwiaty. Docieram do ruin domów wsi Suisnish i Borerraig. Dwieście lat temu Szkocja była gęsto zaludniona, jednak kiedy przyszła koniunktura na szkocką wełnę, ludność została wysiedlona przez posiadaczy ziemskich, a użytkowana od stuleci ziemia – ogrodzona i zamieniona na pastwiska dla owiec. Wielu górali musiało wyemigrować za ocean. Owce oraz popyt na drewno ze strony gospodarki przeżywającej okres prosperity doprowadziły w XIX w. szkockie lasy na skraj zagłady. W konsekwencji pustkowiec i rzekoma „prawdziwa dzicz” to, podobnie jak w Bieszczadach, wynik działań człowieka.

Przedemną ostatnie podejście. Za przełęczą znajduje się dawny kamieniołom marmuru, a szlak prowadzi śladem wąskotorówki do Broadford. Coraz więcej spacerowiczów, coraz mniej widoków – pogoda ostatecznie się psuje. W miasteczku nocuję w hostelu dzielącym budynek z firmą pogrzebową, prowadzoną przez... MacLeodów! W leniwe popołudnie obserwuję zza szyb ściany deszczu, którymi żegna mnie wyspa. Na szczęście wcześniej okazała znacznie więcej przychylności. ○



Michał Janik

Uważa, że ważniejsze niż „gdzie” jest „jak”. Podróżuje powoli: pieszo, rowerem lub kanoe. Z przyjaciółmi, rodziną, czasem sam. Żywa skamielina nie tylko z temperamentu – pracuje w muzeum.

WOLNOŚĆ PO SZKOCKU

Nocleg w zacisznej kotłince u stóp The Storr. Szkockie prawo, inaczej niż w reszcie Zjednoczonego Królestwa, gwarantuje wolność odpowiedzialnej wędrowki i biwakowania w górach.



PRODUKT TURYSTYCZNY

FOT. SHUTTERSTOCK

Żyjemy w dziwnych czasach, przynajmniej pod względem językowym. Pewnie dlatego, że z wykształcenia jestem lingwistką, stale coś rzuca mi się w oczy, a raczej w uszy. Weźmy na przykład słowo „produkt”, które obecnie bardzo się rozpanoszyło.

Produkt nazywa się dziś rzeczy, które jeszcze niedawno wcale nie kojarzyły się z procesem maszynowego wytwarzania. Ale w ostatnim czasie do worka z produktami wrzucono niemal wszystko, w tym rękodzieło, książki czy podróże. Wcześniej twardy i nieco kanciasty dźwięk słowa „produkt” od razu przywoływał mi na myśl terkot fabrycznej maszyny, z której czeluści na ruchomą taśmę wypadają identyczne wyroby. We współczesnym produkcie nie chodzi jednak o sposób wytwarzania, ale o element sprzedaży. Wszystko, co ma w jakiś sposób przynieść zarobek, przemianowano na produkt i poddano marketingowej obróbce.

Nie ma już dziś literatury czy sztuki, są za to produkty zaprojektowane tak, by trafiły do określonej, jak najszerszej grupy docelowej, którą trzeba skusić odpowiednim brandingiem i komunikacją z wykorzystaniem właściwych narzędzi. Podobnie jest z podróżami. Nie istnieje dziś coś takiego jak „po prostu wycieczka”. Jest przemysłany, świetnie zorganizowany i łatwo dostępny produkt turystyczny. Atrakcyjnie opakowany i obiecujący profity podobnie jak reklama szamponu. Produktem może być niemal wszystko:

zabytek, muzeum, atrakcja przyrodnicza, hotel. Kolorowe katalogi biur podróży i kampanie w mediach społecznościowych kuszą turystów bukietem unikalnych doświadczeń i niezapomnianych przeżyć, które uczynią nasze życie ciekawszym, pełniejszym i bardziej wartościowym, a nas samych – zdecydowanie bardziej interesującymi i szczęśliwymi.

Zdradzę wam sekret: to nie wy decydujecie, dokąd jedziecie. Nawet jeśli wam się wydaje, że jest inaczej, to planując wyjazd, wybieracie z palety gotowych produktów turystycznych, które ktoś dla was zaprojektował i zadbał, byście nabrali na nie ochoty. W jaki sposób? Podsuwając apetyczne obrazki w mediach, przedstawiające uroczne miejsca i zadowolonych ludzi, wzmocnione relacjami znajomych na Facebooku, a następnie reklamami, które niby to przypadkiem śledzą was w sieci. Tak wypracowuje się odruch: rezerwacja.

Jak to się stało, że każde miejsce jest dziś produktem? Prześledźmy ten proces. Załóżmy, że kiedyś jeździliśmy spędzać rodzinne weekendy nad pobliski zalew. Babki z piasku na dzikiej plaży, chlapanie się w mętnej wodzie, piknik z prze-nośnej lodówki, siku w krzakach. Dzikie

i naturalnie. Ale niepostrzeżenie zaczęły pojawiać się zmiany. Najpierw stanęły kosze na śmieci, potem przenośna toaleta. W kolejnym sezonie ktoś wybrukował ścieżkę i wytyczył parking. Pojawiły się barierki chroniące dzieci przed wodą, a później kiosk z przekąskami. Wreszcie stanęła mała kawiarenka ze stolikami i wypożyczalnia kajaków. A o zalewie zaczęło się mówić w punkcie informacji turystycznej, jego podrasowane zdjęcie trafiło do broszur. Voilà! Mamy produkt turystyczny.

Myślę o tym procesie, stojąc na krawędzi Wielkiego Kanionu. W tym roku Park Narodowy Grand Canyon obchodzi stulecie istnienia. Z tej okazji wydano album z fotografiami i zapiskami dwóch wspinaczy, którzy jako nieliczni w historii pokonali całą długość kanionu, aby w ten sposób uczcić zbliżający się jubileusz. Jeden z nich, Pete McBride, w czasie wędrówki obserwował pewien wyjątkowo popularny punkt widokowy, do którego docierają wycieczki przywożone łodziami i helikopterem. Zdumiony skalą zjawiska, postanowił spędzić tam cały dzień i uwiecznić wszystkie maszyny. Następnie naniósł je na jedno zdjęcie, pokazując wszystkie naraz. Samych helikopterów naliczył ponad 300. A przecież to tylko jeden dzień z 365 w roku.

Zdjęcie jest niesamowite. Uświadamia skalę masowej turystyki i pozbawia wątpliwości, że nie wywiera ona wpływu na środowisko. Patrzyłam na nie jak zahipnotyzowana, a potem... sama wsiadłam do helikoptera, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Ktoś zaprosił mnie na wycieczkę, a ja z chęcią przystałam na to, że nad zjawiskową panoramą znajdę się zaledwie w ciągu pół godziny, bez konieczności kilkugodzinnej jazdy czy wyczerpującego marszu (taki marsz prawie kosztował życie autorów wspomnianej książki). Prawdopodobnie stojąc na krawędzi kanionu, nie czułabym też takich emocji, co oglądając go z lotu ptaka. Ale nie poczułam za to czego innego: satysfakcji i zastrzyku endorfin, które wydzielają się po trudzie długiej wędrówki. Ulokowana w wygodnym fotelu, dotarłam do celu szybko, zrobiłam swoje (czyli zdjęcia) i równie szybko wróciłam. Byłam zadowolona, bo oszczędziłam co najmniej dzień podróży i zyskałam cenny czas na inne atrakcje. Ale i skonsternowana, czy to wszystko nie przyszło mi zbyt łatwo i czy nie ucierpi na tym sam kanion.



**Audycja dla ludzi ciekawych świata.
W każdą sobotę od 9:00 do 12:00.**

ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A

Oto dylemat współczesności. Uważam, że to wspaniałe, że coraz więcej ludzi ma dostęp do podróży, że podziwianie piękna tego świata nie jest zarezerwowane dla garstki wybranych. Cieszę się też, że możemy podróżować łatwiej, szybciej i wygodniej, bo dzięki temu w ciągu naszego życia mamy szansę zobaczyć więcej miejsc. Doceniam to, że miejsca postarają się o ładne źródła informacji, że pobierają opłaty, z których finansują sprzętanie i różne ulepszenia. Z drugiej strony coraz częściej czuję, że podróże przychodzą mi zbyt bezmyślnie, że tylko ślizgam się po powierzchni i dotykam ledwie naskórka świata. Wracając do przykładu z zalewem: cappuccino sączone w kawiarence przy plaży nie przynosi już tej samej błogości

co pieczona ryba prosto z patyka, wcinana po całym dniu chlapania się w wodzie. A do wody boję się wejść z powodu sinic albo trujących olejków do opalania. Może po prostu wybrzydzałam jak każdy, kto ma coś pod dostatkiem – w tym przypadku możliwości podróży. A może wciąż nie można mieć wszystkiego, choć próbowaliśmy udowodnić światu, że jest inaczej. ☺

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachłanni” i „Hotel Bankrut”.

Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.

TROPIĄC EL DORADO

Elżbieta i Piotr Hajduk

Ogromny pies podbiega do młodego mężczyzny. Z głośnym ujadaniem atakuje jego torbę. Policjanci drobiazgowo przeszukują podejrzany bagaż. Na ziemi ląduje sterta ubrań, kosmetyki i... zawinięta w papier kielbasa. Mundurowi odchodzą bez słowa. Nie ma narkotyków. Fałszywy alarm.



FOT. ELZBIETA I PIOTR HAŁDUK

SEN O DOLINIE

W pobliżu wioski San Andrés de Pisimbalá znajduje się park archeologiczny. Wydrążone w skałach i gruncie komory grobowe leżą na zboczach i szczytach gór. Z grani rozciągają się widoki na zagubione w dolinach osady.



FOT. ELZBIETA I PIOTR HAŁDUK

W Europie wciąż pokutuje przekonanie, że Kolumbia to niebezpieczne miejsce. W świecie mafii, złota, szmaragdów i używek wszystko przecież może się zdarzyć. Skrupulatne policyjne kontrole wydają się potwierdzać tę opinię. To smutne dziedzictwo wojennej przeszłości kraju i echo burzliwych lat dominacji karteli narkotykowych.

Do niedawna przemyt kokainy był głównym źródłem dochodu partyzantów, zrzeszonych w rebelianckiej organizacji

Zjednoczonych Sił Zbrojnych Kolumbii – FARC. To ona, w latach 60., wypowiedziała wojnę państwu, rozpętując ponad półwieczny, wewnętrzny konflikt. Dopiero podpisanie porozumienia między prezydentem Kolumbii a dowódcą FARC budzi nadzieję, że wojna domowa dobiegła końca.

Kraj, który wciąż kojarzy się z przemocą, korupcją i porwaniami, w ostatnich czasach przeszedł ogromną przemianę. Wiele miejsc otwarto dla ruchu turystycznego, a na drogach praktycznie się już nie spotyka sięjących wcześniej postrach oddziałów rebeliantów.

ZŁOTO, ZŁOTO, CHCIWE RĘCE

Miniatura trawy przedstawia obrzęd inicjacji władcy u Indian z nad jeziora Guatavita. Posypany złotym proszkiem król był *hombre dorado*, złotym człowiekiem, od którego prawdopodobnie wzięto nazwę El Dorado.

ZŁOTE MIASTO, ZŁOTY CZŁOWIEK

Hiszpańscy kolonizatorzy, którzy przybyli w te strony na początku XVI w., dali się omamić legendzie o El Dorado. Przez lata przemierzali strome góry i tropikalne lasy w poszukiwaniu mitycznej krainy. Opowieści o drogocennych ozdobach lokalnych wodzów rozpałały wyobraźnię najeźdźców. Sukcesywnie podbijali teren, eksterminując indiańskie plemiona. Odeszli dopiero w XIX w., pozostawiając po sobie wiarę, język i piękną, kolonialną architekturę.

Złotego miasta nie udało się odnaleźć. A jednak legenda o nim zawiera ziarno prawdy. W czasach prekolumbijskich Indianie mieszkający nad brzegami jeziora Guatavita odprawiali cyklicznie pewną ceremonię. Nowego wodza plemienia rozbierano, a jego ciało smarowano żywicą i posypywano złotym proszkiem. Lśniący w promieniach słońca władca wypływał łodzią na środek jeziora. Tam, w ofierze bóstwom, wrzucał do wody cenne przedmioty, a potem sam dokonywał ablucji. To on był *hombre dorado*, złotym człowiekiem, od którego prawdopodobnie wzięło nazwę poszukiwane miasto. Przechowywana w Muzeum Złota w Bogocie miniaturowa,

bezcenna tratwa przedstawia scenę tego obrzędu, potwierdzając jego wiarygodność.

Dla dawnych Indian złoto miało raczej wartość duchową niż materialną. Umożliwiało kontakt z siłami nadprzyrodzonymi, które decydowały o życiu i śmierci. Biali sprowadzili żółty kruszec do środka płatniczego, gotowi popełnić najgorsze zbrodnie, aby wejść w jego posiadanie. Dlatego, jak twierdzi inna legenda, Bóg ukrył bogactwa przed najeźdźcami, pozostawiając je dla ludzi o czystych i dobrych sercach. Wciąż czekają na odkrycie...

Któż nie słyszał o Aztekach, nie zachwycał się piramidami Majów, nie marzył o odwiedzeniu inkaskich miast? Niewielu jednak wie, że przed przybyciem Hiszpanów tereny Ameryki Południowej zamieszkiwały też inne kultury. Nie tak sławne, ale równie ciekawe. Ich ślady prowadzą w kierunku łańcucha Andów, u których stóp odkryto pozostałości dwóch najświetniejszych społeczeństw w kraju. Wciąż mało o nich wiadomo. Naukowcy gubią się w domysłach, skąd przybyli i dokąd odeszli ludzie, którzy na tych terenach pozostawili zachwycające nekropolie i kamienne posągi o nieznanym przeznaczeniu.

PODRÓŻ Z PRZEPRAWĄ

Popayán należy do ładniejszych miejscowości na południu Kolumbii. W półmroku nadchodzącego wieczoru niskie, pomalowane na biało kamieniczki sprawiają wrażenie nierzeczywistych. Białe kościoły stoją przy urokliwych placzkach porośniętych bujną roślinnością. Ten sielski widok jest jednak złudny. W mieście bywa niebezpiecznie. Na każdym rogu stoją patrole policyjne i umundurowani żołnierze. Choć przemierzamy kraj wzdłuż i wszerz, nigdzie nie spotkaliśmy tyłu stróżów porządku. Zwiedzanie miasta przerywa potężna ulewa, która trwa prawie całą noc.

Z dworca odjeżdżają autobusy w kierunku Tierradentro, jednego z najświetniejszych stanowisk archeologicznych. Bez skutku próbujemy kupić bilety na poranny przejazd. Kasjer tłumaczy coś zawile. Mamy czekać. Nie ma autobusu. Kolejny odjedzie około południa.

Droga wiedzie wzdłuż gór. Wspina się serpentynami na grań, by po chwili poprowadzić zakosami w dół doliny. Asfaltowa



FOT. H. ZIEBKA / REPORTER HADUK



FOT. ELZBIETA POTR HAJDUK

nawierzchnia szybko przechodzi w szuter. Wkrótce zastępuje go dziurawy trakt. Jedziemy ze średnią prędkością 20 km/h. Autobus kołysze się na nierównościach. Coraz więcej miejscowych korzysta z podwózki. Wsiadają młode dziewczyny i starsze kobiety z pakunkami. Mężczyzna w kapeluszu niesie stołeczek, ustawia go pomiędzy siedzeniami. Chłopak przewozi w worku kurę, która gdakaniem urozmaica czas podróży. Mały chłopczyk przysiadł na oparciu fotela. Drugi znajduje miejsce na worku z ziarnami kukurydzy, wiezionym przez mężczyznę ubranego w tradycyjną pelerynę.

W połowie trasy autobus staje na skraju urwiska. Przed nami rozciąga się plac budowy. Wokół ciężkiego sprzętu kręcą się robotnicy i wojsko. Dalej nie ma drogi. To dlatego nie odbył się poranny kurs. Niegdyś brzegi

przepaści spinał betonowy most. Rok temu po ulewnych deszczach został podmyty, a fragment podpory runął w przepaść. Na czas naprawy przygotowano tymczasową trasę. Niestety, dzisiaj i ona jest nieprzejezdna. Osuwisko skał i błota w nocy wraz z deszczem spłynęło z gór. Koparka próbuje je usunąć. Za nami formuje się coraz dłuższa kolejka aut. Podobną widać po drugiej stronie obrywu. Niebo zaciąga się chmurami. Coraz silniejsze krople uderzają w dach autobusu. Ze stromego wzgórza znowu osypuje się ziemia.

Wolno upływają godziny. Przygotowanym w pośpiechu szlakiem próbuje przejechać jeden z samochodów pracującej ekipy. Koła ciężarówki boksują w mokrym piasku. W końcu się udaje. Pora na nas. Wsiadamy z autobusu. Brnąc w błocie, przechodzimy na drogą stronę

NIE LEJ DESZCZU, NIE LEJ

Po ulewnym deszczu utwardzona niegdyś droga przypomina bagno. Zniszczyło ją osuwisko skał i błota, które spłynęło ze zboczy. Pasażerowie autobusu muszą iść pieszo na drugą stronę obrywu. Takie niespodzianki nie są rzadkością w tutejszych górach.



PROSTO DO PRZESZŁOŚCI

San Agustín to miasteczko o wąskich uliczkach z piętrowymi kamieniczkami. Użyczyło nazwy kulturze, która pozostawiła po sobie wyrzeźbione w wulkanicznej skale posągi. Można je oglądać w pobliskim parku archeologicznym.

osuwiska. Za nami wolniutko jedzie autobus. Ślizga się po nawierzchni. W dole zięje przepaść, na której dnie złowrogo huczy spieniona, górską rzeką.

WEWNĄTRZ ZIEMI

San Andrés de Pisimbalá to niewielka osada w sercu Andów. Życie mieszkańców toczy się bez pośpiechu. Wioskę budzi pianie kogutów, a na nieutwardzonej drodze częściej można zobaczyć konie niż samochody. Ludzie z życzliwością witają każdego gościa i nawet

kundle odnoszą się przyjaźnie do przyjezdnych. Nieduże sklepiki zapraszają do wnętrza. To nie tylko miejsce zakupów, ale także towarzyskich spotkań.

W pobliżu znajduje się park archeologiczny, który chroni unikalne, wydrążone w skałach i gruncie grobowe komory. Wszystkie znajdują się poniżej powierzchni ziemi. Do głębokich nisz prowadzą nienaturalnie wysokie stopnie. W środku znaleziono ceramiczne urny z ludzkimi prochami i szczątkami kości oraz liczne przedmioty codziennego użytku. Ich ekspozycja jest prezentowana



kilkanaście osób. Dzisiaj jesteśmy pierwsi, choć wcale nie jest tak wcześnie.

Poszczególne zespoły grobów są położone w górach otaczających wioskę. Od głównej drogi odchodzą do nich znakowane szlaki. Na odwiedzenie bliższych wystarczy kilka godzin, te bardziej odległe wymagają więcej czasu. Zwiedzanie zaczynamy od wspinaczki na Alto del Aguacate. Wąska ścieżka prowadzi przez pachnące ziołami łąki i nieduże zagajniki. Trasa jest bardzo stroma, z nieba leje się żar, w rozrzedzonym powietrzu brakuje tlenu. Wysiłek wynagradzają widoki na góry



KTO TU SPOCZYWA?

Podziemne komory grobowe kultury Tierradentro są zdobione rzeźbami i kolorowymi malowidłami. Na białym tle dominują dwa kolory – czerwony i czarny, symbolizujące życie i śmierć.

w miejscowym muzeum. Grobowce pochodzą z czasów prekolumbijskich, lecz niewiele wiadomo o kulturze, która je stworzyła. Nazwano ją Tierradentro, co znaczy „wewnątrz ziemi”. W niektórych znajdują się barwne malowidła o geometrycznych wzorach. Prawdopodobnie świadczą o statusie pochowanej osoby. Inne nie są zdobione.

Na liczącej blisko 15 km trasie wyodrębniono kilka stanowisk. Aby je zobaczyć, w kasie muzeum trzeba wykupić specjalny paszport ważny dwa dni. Zaglądamy do księgi wejść. W ciągu ostatnich dni park odwiedziło tylko

i położone w dolinach osady. Po godzinie wychodzimy na grań. Usytuowane na szczycie grobowce są otoczone drewnianym płótkiem i osłonięte spadzistymi daszkami. To zabezpieczenie przed deszczem, który często pada w tych okolicach.

Otwory wejściowe leżą na poziomie gruntu. Wnętrze grobu jest dość obszerne, ma kilka metrów średnicy i tyleż wysokości. Snop światła wydobywa z mroku łukowate sklepienie, które zdobi kilka niewyraźnych kresek.

– Powstały prawdopodobnie między XI a XIII w. – tłumaczy Josef, strażnik parku.



FOT. ELIZBETA PROCHAŁA

NA STRAŻY

Posągi kultury San Agustín przedstawiają przeważnie symboliczne postacie ludzkie o wielkich głowach i rozciągniętych ustach. Niektóre z nich stoją na straży prekolumbijskich kurhanów. Nie jest znane ich dokładne przeznaczenie. Grymasy rzeźb stały się inspiracją miejscowych artystów tworzących murale (po prawej).

Po udzieleniu niezbędnych informacji żąda paszportów. Wyciągamy dokumenty, ale on chce te wystawione w kasie. Nieduże książeczki w pełni zasługują na tę nazwę. Każde stanowisko grobów ma w nich osobną stronę, gdzie strażnicy stawiają pieczętki jak na granicy.

Po drodze odwiedzamy kolejne krypty. Podziemne komory w kształcie kopuł są zdobione rzezbami i kolorowymi malowidłami. Stropy są podparte solidnymi kolumnami, również bogato dekorowanymi. Na białym tle dominują dwa kolory – czerwony i czarny, symbolizujące życie i śmierć. Dostrzegamy ludzkie twarze, ukryte w płataninie geometrycznych kresek. Panująca wokół cisza ma w sobie coś mistycznego. Kim byli ludzie, którzy tutaj znaleźli miejsce wiecznego spoczynku?

O świcie następnego dnia z zalem żegnamy Tierradentro i jego wciąż nieodkryte tajemnice. Ruszamy do San Agustín, aby zobaczyć inny park archeologiczny, najsławniejszy w całej Kolumbii. Odległość nie jest duża, ale podróż zabiera pół dnia.

Z rykiem motoru podejżdza potężna ciężarówka. Na podwoziu stoi kilka rzędów

twardych ławek. Drzwi i okna nie są potrzebne. Przed deszczem chroni plandeka, a w razie ulewy w miejsce okien można opuścić rolety z grubej ceraty. Jedziemy nieutwardzoną drogą w tumanach kurzu. Zimny wiatr wciska się w każdą szczelinę. Warkot silnika zagłusza rozmowę. Komfort podróży nie jest najwyższy, ale pojazd ma niewątpliwą zaletę – przejedzie po każdej drodze.

Skostniali z zimna wysiadamy w La Plata. To miejscowy węzeł komunikacyjny. Na dworcu stoją autobusy. Otrzepujemy zakurzone plecaki i wsiadamy do jednego z wozów. Kolejny przystanek to Pitalito. Dopiero trzeci pojazd ma nas w końcu zawieźć na miejsce. Bus dzielimy z farmerem i jego rodziną. Mężczyzna w ogromnym kapeluszu, z maczetą za pasem i w kowbojkach odwraca się w naszą stronę. Tutejszą okolicę najlepiej oglądać z siodła, przekonuje. A jak konie, to tylko u niego.

MILCZĄCE TWARZE

San Agustín to spore miasteczko o wąskich, ruchliwych uliczkach zabudowanych piętrowymi kamieniczkami. W gwarnym centrum koncentruje się życie. Tutaj można się napić wyciskanego na miejscu soku z trzciny cukrowej i zjeść *empanadas*. Na ulicy można też załatwić transport, czyli konia lub jeepa, dzięki którym zobaczymy bardziej oddalone atrakcje.

Park archeologiczny leży na okolicznych wzgórzach. W tym miejscu zachowały się prekolumbijskie kurhany. Przy nich stoją tajemnicze kamienne posągi. Figury przedstawiają symboliczne postacie ludzkie o wielkich głowach i rozciągniętych ustach lub zwierzęta, najczęściej orły i jaguary. Nie jest znane ich przeznaczenie, prawdopodobnie miały charakter rytualny. Zostały wyrzeźbione w wulkanicznej skale przez artystów z kultury San Agustín, która nazwę wzięła od pobliskiego miasteczka. Istniała od trzeciego tysiąclecia p.n.e., jednak jej największy rozkwit przypadł na okres między II a VII w. n.e.

Tajemniczy rzeźbiarze mieli znacznie więcej umiejętności. Budowali kanały irygacyjne, wznosili drogi i mosty. Wyrabiali złote ozdoby, narzędzia i broń. Zniknęli przed nadejściem Hiszpanów, jakby w obawie przed utratą tożsamości.



FOTELIZBETA / PIOTR HAJDUK

Kamienne oczy spoglądają z milczących twarzy, zastygłych w dziwnych grymasach. Niektóre mają aż dwa oblicza, inne straszą wyszczerzonymi kłami. Nie wszystkie figury to strażnicy kurhanów. W położonym na obrzeżach rezerwatu Bosque de las Estatuas (Lesie Posągów) jest ukrytych kilkadziesiąt rzeźb. Postacie mężczyzn i kobiet, szamanów, bogów, demonów, zwierząt, ptaków stoją zanurzone w cienistej zieleni drzew. Mają symbolizować różne aspekty życia – duchowość, narodziny, śmierć, odrodzenie, wierzenia czy obyczaje.

Kilkanaście kilometrów od miasteczka, w Alto de los Idolos (na Wzgórzu Bóstw), stoi najwyższa z figur. Siedmiometrowy posąg spogląda na górskie zbocze pokryte dywanem trawy. Dalej znajdują się kolejne. Stoją jakby zamyślane nad upływem czasu. Martwe oblicza smaga wiatr. Ile wschodów słońca widziały już puste oczy? Ile pokoleń przeminęło, podczas gdy one wciąż trwają?

Nie tylko rzeźby są warte uwagi. W skalnych górskich wąwozach rzeka Magdalena i jej dopływy tworzą urokliwe progi, przełomy i wodospady. Jeden z nich, Salto de Bordones, liczy 400 m wysokości i do niedawna był uważany za najwyższy w Kolumbii. Choć stracił już palmę pierwszeństwa, nadal pozostaje chętnie odwiedzany. Patrzymy, jak wąska struga wody spada wzdłuż pionowej skały, niknąc w gęstwinie lasu.

Na archeologicznych szlakach Kolumbii indiańska historia Ameryki Południowej wyłania się z mroku dziejów. Tajemnicze kultury żyjące u stóp gór istniały obok znanych prekolumbijskich cywilizacji. To one są prawdziwym El Dorado, które przetrwało na przekór hiszpańskim poszukiwaczom złota. Być może nadejdzie czas, kiedy dowiemy się więcej o ludziach pochowanych w barwnych grobowcach Tierradentro. Może kiedyś zrozumiemy, kogo wypatrują kamiennymi oczami posąg z San Agustín. ○



Elżbieta i Piotr Hajduk

Ona historyk, humanista.
On inżynier, umysł ścisły.
Zjeździli razem pół globu.
On w podróży szuka mocnych wrażeń, ona – urywki świata.
I każde znajduje to, co lubi.
Wspólnie z córką Kasią napisali książkę o podróży po Afryce „Dalej są tylko lwy”.



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Malowniczy labirynt



FOT. SHUTTERSTOCK

Błędne Skąły można zaliczyć do najpiękniejszych rejonów na terenie Sudetów Środkowych. Ten zakątek położony w Parku Narodowym Gór

Stołowych oferuje szlaki turystyczne, które zabiorą nas w rozmaity świat form skalnych – są tu maczugi, grzyby czy słupy. Błędne Skąły odwiedzają turyści

z całego świata – zasłynęły jako miejsce kręcenia filmu „Opowieści z Narnii: Księżę Kaspian”. Niektóre punkty widokowe oferują rozległą panoramę na Góry Kamienne oraz Karkonosze. Obecny kształt skalnych korytarzy – wynoszących nawet 853 m n.p.m. – zawdzięcza się długotrwałemu procesowi wietrzenia. Z miejscem jest związana legenda o Liczyrzepie, który miał stworzyć Błędne Skąły. Nieoddanie mu należytej czci przez chłopków przyprawiło go o zawrót głowy. Spowodował burzę, w wyniku której powstały liczne pęknięcia, przypominające budowle i stwory leśne.


 50°28'N 16°17'E

Znajduje się między Kudową-Zdrojem a Karlowem, w pobliżu granicy z Czechami. Najbliższa miejscowość to Bukowina Kłodzka.

Wielka Pętla Jezior Karynckich

Przejechanie na rowerze całej 340-kilometrowej trasy pięciu karynckich jezior zajmuje średnio od czterech dni do tygodnia. Około 50 proc. szlaku biegnie brzegiem wody – albo jednego z dziesięciu karynckich jezior, albo rzeki Gail lub Drawy. Nie brakuje więc okazji do kąpieli. Szlak przypomina kształtem ósemkę – a zachodnią i wschodnią pętlę można pokonać także oddzielnie.

Start i zarazem meta szlaku Wielkiej Pętli Jezior Karynckich znajduje się w Villach – geograficznym centrum landu. Pierwszy odcinek trasy prowadzi nad jezioro Ossiacher See i okrąża je w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Następnie mierza brzegami Afritzer See i Feldsee, w górę, ku północnemu brzegowi Millstätter See. Przez miasteczka Millstatt i Seeboden dojeżdża się do położonej w pobliżu doliny Drawy miejscowości

Spittal. Kilka kolejnych kilometrów prowadzi w dół rzeki, szlakiem Drauradweg. Potem szlak skręca na zachód i wiedzie przez Stockenboi do wschodniego brzegu Weissensee. Po krótkiej przeprawie promem do przystani Ronacherfels na zachodnim brzegu Weissensee do pokonania jest krótka, stroma podjazd na wysokość 1074 m n.p.m. w Alpach Gailtalskich. Kolejne 60 km to jazda z górki. Trasa prowadzi przez piękną dolinę Gailtal nad jezioro Pressegger See i dalej, u stóp majestatycznego masywu Dobratsch, w kierunku Villach. Przez Finkenstein wiedzie nad jezioro Faaker See, a dalej jego wschodnim brzegiem przez Egg do Velden nad jezioro Wörthersee. Jego północnym brzegiem prowadzi do Klagenfurtu – stolicy landu, a następnie na wschód, do Sankt Kanzian nad Klopeiner See. Ostatni, 80-kilometrowy odcinek



FOT. MICHAEL STABENTHNER

biegnie głównie wzdłuż Drawy i prowadzi malowniczą doliną Rosental aż do Villach, mijając skały, jeziora i zamki.
www.rover.karyntia.pl


 46°43'N 14°11'E

Karyntia znajduje się na południu Austrii i graniczy ze Słowenią i Włochami.

Są niewielkie obszarem, ale tak atrakcyjne turystycznie, że często biją na głowę wiele znacznie większych terytoriów. Wspaniałe zabytki, urokliwe krajobrazy, rajski klimat – tym kuszą gości najmniejsze państwa świata, polecane przez redakcję Turystyki Wirtualnej Polski.



Watykan

Na naszym kontynencie leży najmniejsze państwo świata – Watykan. Spadkobierca istniejącego przez ponad tysiąc lat Państwa Kościelnego (w 1870 r. włączono je do Włoch) ma zaledwie 0,44 km² powierzchni. Rozmiar państwa jest odwrotnie proporcjonalny do wagi, jaką Watykan – jako siedziba papieża – odgrywa w świecie.

Stolica Apostolska przyciąga rocznie nie tylko setki tysięcy wiernych, ale także nieprzebrane rzesze turystów. I nic dziwnego, ponieważ Watykan jest najbogatszą w świecie, w przeliczeniu na powierzchnię, skarbnicą cennych zabytków. Co koniecznie trzeba tu zobaczyć? Plac Świętego Piotra, bazylikę Świętego Piotra (w której znajduje się m.in. słynna Pieta Michała Anioła), Muzea Watykańskie (jest ich aż osiem), kaplicę Sykstyńską, zamek Świętego Anioła oraz ogrody watykańskie.



41°54'N 12°27'E

Watykan leży w Europie Południowej, na Półwyspie Apenińskim, enklawa na terytorium Włoch, w Rzymie.

San Marino

Na Półwyspie Apenińskim leży San Marino, które ma 61 km². Należy do najstarszych krajów na świecie. Według legendy, w którą święcie wierzą mieszkańcy, protoplastą państwa był w 301 r. św. Marinus. Uciekł on do tego miejsca przed cesarzem Dioklecjanem, zapisanym w historii jako prześladowca chrześcijan. Na szczycie Monte Titano (najwyższego z siedmiu wzgórz San Marino) Marinus założył małą wspólnotę chrześcijańską, dając początek pierwszej republice świata.

Co warto zobaczyć w San Marino? Na uwagę turystów z pewnością zasługują: średniowieczne domy i fortyfikacje, pochodząca z XI w. twierdza La Rocca o Guaita, katedra św. Marinusa, romańska dzwonnica z 600 r., a także siedziba władz państwa – ratusz wybudowany pod koniec XIV w.



43°56'N 12°27'E

Państwo śródlądowe w Europie Południowej, stanowiące enklawę na obszarze Włoch.



FOT. SAWOT - SHUTTERSTOCK

Monako

Trudno o bardziej urokliwe miejsce niż Monako. Położone na Lazurowym Wybrzeżu księstwo ma zaledwie 1,95 km² powierzchni i przyciąga nie tylko turystów, ale również hazardzistów. To tu znajduje się najslynniejsze na świecie kasyno. Warto je odwiedzić, nawet jeśli nie mamy serca do hazardu. Rozegrało się tutaj wiele romantycznych i tragicznych historii. W małym księstwie na zobaczenie zasługuje także pałac władcy (obecnie jest nim Albert II), domy leżące na stromym brzegu Monako, słynne w całym świecie muzeum oceanograficzne oraz rozgrywany na ulicach miasta wyścig Formuły 1.



43°44'N 07°25'E

Państwo położone w Europie Południowej nad Morzem Śródziemnym w obrębie Riwiery Francuskiej.



Liechtenstein

Księstwo Liechtenstein, położone między Szwajcarią i Austrią, o powierzchni 160 km², jest prawdziwą monarchią. Książę Hans Adam II jest monarchą z Bożej łaski, który faktycznie decyduje o całej polityce swego państwa. Liechtenstein to kraina pięknych górskich krajobrazów i urokliwych wiosek. Jest tu także wiele zabytków. W stolicy Vaduz warto na przykład obejrzeć zamek na wzgórzu. Vaduz liczy 5 tys. mieszkańców. Dla spragnionych wypoczynku idealnym miejscem będzie miasteczko Triesenberg, liczące 2,5 tys. mieszkańców.



47°10'N 09°33'E

Małe górskie państwo w Europie Zachodniej. Liechtenstein położony jest nad górnym Renem, w Alpach.

Malta

Malta, dawna siedziba zakonu joannitów (zwanych popularnie kawalerami maltańskimi), leży 80 km na południe od Sycylii. Państwo ma 316 km² powierzchni. Jego obszar jest bogaty w zabytki – począwszy od najstarszych, fenickich. Z okresu władania wyspiarskim państwem przez zakonników w zbrojach zachowało się ponad 20 wież obserwacyjnych. Warto też zwiedzić pałac Wielkiego Mistrza, pałac San Anton i Verdala Palace. Młodszych turystów z pewnością zainteresuje morski park rozrywki Mediterraneo Marine Park.



35°56'N 14°22'E

Położone w Europie Południowej, na Morzu Śródziemnym, 80 km na południe od Sycylii.



MIASTO WIELOZNACZNE

Stanisława Budzisz-Cysewska





Klimat stolicy Gruzji można poczuć na kilka sposobów: wędrować szlakiem cerkwi i kościołów lub podążać tropem kulinarnym, aby popробować gruzińskich smaków. Albo też niespiesznie pospacerować po Mejdanie, Szardeni czy Mardżaniszwili i podziwiać wielokulturowe bogactwo architektoniczne. Tbilisi to miasto wieloznaczne, w którym warto zabłądzić i odkryć je nie takim, jakie chciałoby być, ale takim, jakie jest naprawdę. Zapraszam na całodniową wycieczkę po jednej z najciekawszych stolic Kaukazu.



MUZA MŁODOPOLAN
Mogiła Dagny Juel Przybyszewskiej, norweskiej artystki, która była muzą wielu twórców okresu Młodej Polski. Gruzjińska Polonia dba o groby rodaków.

Tbilisi budzi się do życia leniwie. Jakoś koło dziewiątej zaczyna ją otwierać się pierwsze sklepy i stragany. Nie ma co się spieszyć. Tbilisi nie lubi pędu. Spokojna *turkuli kharwa*, czyli kawa po turecku, zimny arbuż w jednej z kafejek na alei Rustawelego i można ruszyć w drogę.

ZMARLI NIE DAJĄ ZAPOMNIEĆ

Stolica Gruzji ma wiele do zaoferowania. Zaczniemy od przodków. Na cmentarzu Kukijskim od dnia swoich trzydziestych czwartych urodzin leży Dagny Juel Przybyszewska. Na zaproszenie zakochanego w niej Władysława Emeryka przyjechała w 1901 r. z synem

do Tyflisu. Czekwała na męża. Miała nadzieję, że ta podróż na nowo zbliży ich do siebie. Nie wiedziała, że to on wepchnął ją w ramiona Emeryka. Stanisław Przybyszewski, zajęty już nową pasją, nie miał w planach wycieczki na Kaukaz. Ale Dagny czekała. W pokoju legendarnego hotelu Grand zakończyła życie. Zastrzelił ją Emeryk, kiedy zdał sobie sprawę, że ona nie wyobraża sobie życia przy jego boku. Na stole zostawił konkretną instrukcję, jak przygotować ciało ukochanej do ostatniej drogi. I popełnił samobójstwo.

Stanisław Przybyszewski na pogrzeb nie dotarł. Po pierwsze dlatego, że był już zajęty romansem z Jadwigą Kasprovczową, a po drugie – ze względów finansowych. Do kochanki w liście napisał: „cała ta historia kosztowała kilkaset rubli”.

Dziś na Kukii można odwiedzić dwa groby Dagny Juel Przybyszewskiej. Jeden, ten pierwszy, znajduje się na Polskim Wzgórzu, wśród grobów innych naszych rodaków. I drugi, do którego przeniesiono ją w 1999 r., na Pantheonie przy kościele pw. św. Nino.

Cmentarz Kukijski to jedna z najstarszych tbiliskich nekropolii, warto więc pospacerować po jej alejkach. Tutaj także, jak na każdym gruzińskim cmentarzu, przy grobach można natknąć się na ławki, stoły, jedzenie i butelki z winem. Od czasu do czasu ktoś zostawia swoim przodkom odpalonego papierosa, ulubione słodycze albo po prostu zapala cerkiewną świeczkę. – *Taką mamy tradycję* – mówi Lasza, którego pytam o polskie groby i stakany stojące przy grobach. – *Toast za zmarłych to nasz obowiązek. A wy nie pijecie za zmarłych?* – *Nie* – odpowiadam: – *My pijemy za żywych.* – *To jak wspominać przodków?* – pyta zdziwiony. W przebieg gruzińskiej supry, czyli biesiady, jest wpisany toast za przodków. Na Kaukazie umarli nie dają o sobie zapomnieć.

NA PŁÓTNIE I NA TALERZU

W całej przestrzeni miasta można natknąć się na artystów. Tbilisi z nich słynie. Obok pchlego targu, który szeroko rozłożył się w okolicach Suchego Mostu i na którym można kupić praktycznie wszystko (od rodowej porcelany po kiczowaty magnesik z głową Stalina), swoje prace sprzedają twórcy sztuki. Malarze, rzeźbiarze, garncarze i inni. Można kupić ręcznie przygotowane rogi do picia wina, gliniane naczynia z ludowym wzorem, filcowe szale, ciepłe kaptcie czy bogato zdobione peleryny. A na ulicach posłuchać muzyki. Przekrój jest szeroki: od tradycyjnej, nierzadko połączonej z tańcem, poprzez rock i sowieckie szlagiery aż po współczesne rytmy. I książki. Książki w Tbilisi można kupić praktycznie na każdym rogu, w przejściu podziemnym, pod drzewami. Wszędzie.

Jednak najbardziej do miasta pasują malarze. Niektórym to właśnie z nimi Tbilisi kojarzy się najbardziej. Najślynniejszym tbiliskim malarzem był Niko Pirosmani. To on

MIASTO BALUSTRAD

Urwisty brzeg rzeki Mtkwari zdobią wiszące balkony. Tbilisi słynie z misternych balustrad.





FOT. STANISŁAWA BUDZISZ-CYSEWSKA

AMERICAN DREAM

Gruzja stoi na styku Europy i Azji. Gdzieś między jej tradycjami przebija tęsknota za amerykańskim snem.

rysował supry, suto zastawione stoły i piękne kobiety na ścianach szynków całego Tyflisu pod koniec XIX i na początku XX w. Mieszkał w urągających warunkach: w komórce pod schodami. Z biedy malował, na czym się dało: na folii, na tabliczkach nagrobnych, na tym, co znalazł. Dlatego najczęstszą barwą jest czerń. Zapłatę za rysunki odbierał w jedzeniu. Mówi się, że z tego powodu uginają się pod nim wyobrażone przez malarza stoły. Zmarł z głodu w którymś z tbiliskich podwórek. I jak to często bywa z wielkimi, został doceniony po śmierci. Dziś jego obrazy wycenia się na miliony dolarów, a w Tbilisi na liczne reprodukcje możemy trafić w różnych zakątkach miasta.

– *Nie wiadomo, gdzie jest prawdziwy grób Pirosmianiego. Pochowano go w zbiorowej mogile i do dziś nie znaleźliśmy jego szczątków* – mówi Misza, historyk sztuki i pasjonat Pirosmianiego. Na Świętej Górze, na cmentarzu dla zasłużonych, ma symboliczny nagrobek. Obok spoczywają największe artystyczne autorytety: Ilija Czawczawadze i Akaki Certeli, oraz Ketewan Geladze, matka Stalina. Jej pochowanie na Panteonie Pisarzy i Osób Publicznych Józef Dżugaszwili zlecił Ławrientijowi Berii.

Pora na obiad. I tu jest w czym wybierać. Można pójść na falafele i lemoniadę do Kiwi albo do Raczy na tradycyjny szaszłyk, kiszzone kwiatostany kłokoczki – *dżondzoli* i domowe wino. Kto co woli. I tak będzie smacznie.

DO BANI

Wachtang Gorgosali w VI w. przeniósł stolicę z Mchety do Tbilisi. Tak mówi legenda. Mówi też, że decyzję podjął na polowaniu. Według podania przyjechał na bażanty. Kiedy dojrzał ptaka, wypuścił za nim sokoła. Ten długo nie wracał. Zaniepokojony król ruszył w kierunku, w którym poleciał. Zszedł w dolinę i zobaczył siedzącego na kamieniu sokoła, który patrzył w parującą wodę, a w niej upolowanego i już ugotowanego bażanta. *Tbili* po gruzińsku znaczy „ciepły”.

Na miejscu gorących źródeł stoją carskie banie, czyli łaźnie siarkowe. Dzielnica Abanotubani jest najstarszą częścią miasta. Według niektórych podań w XIII w. źródeł było nawet siedemdziesiąt, ale dziś także jest w czym wybierać. Tbiliskie banie pełnią nie tylko funkcje higieniczne, lecznicze i relaksacyjne. – *W latach*



FOT. STANISŁAWA BUDZISZ-CYSEWSKA

MATKA GRUZJA

W jednej dłoni trzyma czaszę z winem – dla gości, a w drugiej miecz – dla wrogów.

dziewięćdziesiątych, kiedy Gruzja borykała się ze zorganizowaną przestępczością, właśnie w baniach często odbywały się narady kryminalnych autorytetów. Te mury kryją niejedną tajemnicę. Jeszcze pod koniec XX w. do bani zabierano przyszłą synową. Kobiety z rodziny pana młodego sprawdzały cnotliwość panny. Miały na to swoje sposoby – opowiada masażystka z Czerli Abano, jednej z najładniejszych bani w mieście.

W upalny dzień warto zrelaksować się w tbiliskiej łaźni. Po wyjściu nasze nieprzystawczajone do wysokich temperatur ciała poczują się dużo lepiej.

SPACER NAD KURĄ

Niektórzy twierdzą, że magię Tbilisi tworzy stare miasto, upstrzone fantazyjnie



FOT. STANISŁAW BUDZISZCZEWISKA

JESZCZE WISZĄ

Warto się przespacerować po starym Tbilisi. Miasto szybko się zmienia i stare domy na Sololaki niebawem zostaną zastąpione przez odremontowane kamienice. Mimo że czasem balkony budzą grozę, trzeba przyznać, że są piękne.

DUCHY MIEJSCA

W okolicach Mardżaniszwili i Agmaszenebeli można natknąć się na piękne zdobienia starych kamienic. Zamyślane rzeźby, mozaiki, rytły budują klimat miasta.



FOT. STANISŁAW BUDZISZCZEWISKA

rzeźbionymi balustradami. Inni widzą ją w wąskich uliczkach, krzywych ze starości budynkach, w których piwnicach są ukryte piekarnie, zakłady krawieckie, szewskie czy fryzjerskie.

Na Majdanie, Szardeni czy Awlabari spotyka się wszystko: kolorowe balkony, które zwisają nad rzeką, zagadkowe klatki schodowe z tajemniczymi zakamarkami. Domy z włoskimi podwórkami, których mieszkania wychodzą na wspólny, długi balkon. Tu możemy zobaczyć prawdziwe życie Tbilisi. Z wywieszonym praniem, z wychodzonymi schodami, ze starymi ładami i dziećmi grającymi w berka. Centrum miasta schowane za fasadą, którą Tbilisi chce nam pokazać. Warto tu pobłądzić.

Możemy pójść na spacer nad Mtkwari albo jeśli komuś wygodniej – Kurą. Rzeka płynie przez miasto aż 40 km. W kilku miejscach biegnie pod nią tbiliskie metro. Ono też ma ciekawą historię, jak prawie wszystko w tym mieście. Po śmierci Stalina Chruszczow zdecydował, że nie „podaruje” Gruzji podziemnej kolei. Widział kraj pełen pól kukurydzy,



hodowli świń i bydła, a metro traktował jako zbytnią rozpustę. Zgodził się na schrony przeciwlotnicze, żeby nie tracić wyłożonych już pieniędzy i ze względu na niebezpieczeństwo ataku wroga.

Pod przykrywką bunkrów Tbilisi budowało podziemną kolej. W wielkiej tajemnicy przed Generalnym Sekretarzem w Moskwie. Kiedy w 1964 r. Chruszczowa zastąpił Leonid Breżniew, można było otwarcie dokończyć zaawansowane prace. Pierwsze jedenaście stacji otwarto w 1966 r., dziś metro ma dwie linie i bardzo ułatwia przemieszczanie się po stolicy.

GORĄCE NOCE

O ile poranki w gruzińskiej stolicy zaczynają się leniwie, to noce zdają się nie kończyć. To moment, w którym Tbilisi zaczyna żyć pełną piersią. Muzyka, tańce, śpiew, wino i *chachaczello*, czyli gruzińska czacza (wódka z winogron) z cytryną. Ten trunek serwuje tylko jedno miejsce na mapie rozrywki stolicy Gruzji: bar Warszawa.

Najpiękniej Tbilisi prezentuje się nocą. Zwłaszcza z góry. Na wzgórze Mtaqminda, jedno z najważniejszych w mieście, można wjechać szynową kolejką z początku XX w. Trafimy prosto pod oświetloną (jeśli będziemy mieli szczęście, wielokolorową) wieżę telewizyjną. Stąd rozpościera się niezwykły widok na rozświetlone Tbilisi. Złote cerkwie, uliczki i góry. Na wprost szkło i metal, tak chętnie wtłaczane w tkankę miasta przez byłego prezydenta Michaela Saakaszwilego, łączą się z tradycyjną zabudową. Po lewej – przedmieścia, wielkie socjalistyczne molochy, które zdają się rozpadać na naszych oczach. Pocerowane bloki z poodklejanymi przybudówkami. A na prawo nowe, prestiżowe dzielnice miasta: Vake, Vera, Saburtalo.

WTbilisi jest wszystko: tradycja, socjalizm i neoliberalizm. To miasto nigdy nie chciało się dostosować do obowiązujących trendów. Jest wieloznaczne.

Ale czas już na kolację i lampkę czerwonego *kindzmarauli*. ◯



Stanisława Budzisz-Cysewska

Dziennikarka, reporterka i tłumaczka. Absolwentka filologii polskiej i rosyjskiej, doktorantka Uniwersytetu Gdańskiego. Zawodowo i hobbystycznie interesuje się Kaukazem. Zajmuje się zagadnieniami postkolonializmu, polityki współczesnej Rosji i jej wpływami na republikę byłego ZSRR.



DŁUGO W DRODZE
Lukasz Długowski



FOT. SHUTTERSTOCK

DLACZEGO ZAMIESZKAŁEM NA WYSPIE

Pożyczyłem od znajomych namiot, kominek opalany drewnem i wsiadłem w łódkę. Wiało straszliwie, dzień wcześniej na tyle mocno, że musiałem zrezygnować z płynięcia. Teraz też urywało głowę, ale nie było fal na rzece, więc mogliśmy bezpiecznie przepłynąć pomiędzy wioską a wyspą.

Płynąłem łodzią rybacką, która przez kilkanaście lat codziennie transportowała ryby złowione w Bugu. Świątek, piątek czy niedziela, każdego ranka na jej dnie podskakiwały srebrzyste okonie, płotki i szczupaki. W sezonie trafiał się pyszny sum złowiony na hak. Kawał ryby

o wielkim łbie i długich, czarnych wąsach. Teraz już nikt tu nie stawia sieci, nikomu się nie chce ani się nie opłaca, więc łódki stoją wiecznie zakotwiczone w zaroślach. Przyjeżdżają tylko pasjonaci, którzy całymi dniami potrafią moczyć wędki w spokojniejszych zakolach Bugu.

Byłem tylko 40 minut od centrum Warszawy, a czułem się, jakbym wyjechał na Wschód, co najmniej na Podlasie, na granicę z Białorusią. A to wszystko, ta dzicz – wyspy, zakola, ślepoty, starorzecza, lasy łąkowe i łąki Bugu – to wszystko było tak blisko stolicy, że ponad horyzont wybijał się iglicą Pałac Kultury i Nauki.

Dobiliśmy do brzegu, wyrzuciłem na trawę toboły: namiot, kominek kożę, jedzenie, śpiwór i książki. Wypchnąłem z powrotem łódkę z Waldkiem w główny nurt i zostałem sam. Poza fotografem, który miał do mnie dołączyć na kilka godzin, przez następnych kilka dni nie miałem zobaczyć ani jednego człowieka. Poszedłem szukać miejsca na rozbicie namiotu.

Moja wyspa miała 1,5 km długości na 400 m szerokości. Wzdłuż brzegów o tej porze roku była podmokła, a miejscami nawet bagnista, w centrum rosły wysokie trawy i pojedyncze drzewa głogu oraz brzozy. Wiedziałem, że muszę się gdzieś ukryć od wiatru, bo inaczej umęczę się niemiłosiernie. Nie wiem dlaczego, ale wiatr działa na mnie bardzo deprymująco. Jestem w stanie wytrzymać najniższe temperatury, ale dwa dni silnego wiatru i mam dosyć, mogę wracać do domu. Na szczęście zadanie było dość łatwe – w Polsce wiatry wieją głównie z południowego zachodu, więc musiałem przytulić się gdzieś od strony wschodniej. Szedłem wzdłuż drzew porastających wschodni brzeg i szukałem najlepszego miejsca – w miarę płaskiego, lekko wyniesionego ponad poziom (żeby nie było wilgotno) i osłoniętego.

Zanim zdecydowałem, gdzie się rozbiję, znalazłem coś, co jeszcze bardziej podniosło mi poziom adrenaliny we krwi – wilk. Na początku nie byłem pewien, to mogły być ślady psa, ale kiedy bliżej im się przyjrzałem, pozbyłem się wątpliwości: wielkość, kształt, odstęp, sposób poruszania się i na koniec – koronny dowód w sprawie – kupa z sierścią sarny. A więc na wyspie był wilk. Pytanie, czy tylko tędy przechodził, czy żyje w okolicy na stałe i jestem na jego terytorium? Liczyłem na to, że może uda mi się go spotkać albo znajdę upolowaną ofiarę, ale do końca pobytu te tropy, które znalazłem, były jedynymi.

Z namiotem popełniłem klasyczny błąd amatora. Przyzwyczajony do namiotów typu *self-standing*, które można postawić nawet na betonie, zacząłem rozbijać mój na niewielkiej piaszczystej wydmie. Po godzinie nadal był w powijkach. W końcu odpuściłem i przeniosłem go kawałek dalej. Pół godziny i mogłem cieszyć się dachem nad głową.

Przy kominku spałem jak suseł. Rano obudziły mnie ptaki i zamiast sprawdzać komórkę, jak zwykle to robię, wybrałem

się na obchód mojej wyspy. Wieczorem przed snem czytałem książkę „Kampinowskie bobry” Piotra Topińskiego, a teraz miałem je na wyciągnięcie ręki. A właściwie ich żeremia, bo w ciągu dnia bobry raczej śpią w środku. Co ciekawe, w bezpośrednim sąsiedztwie nie ścinają drzew ani gałązek, robią to dopiero kilkadziesiąt metrów dalej, także niewprawny obserwator może przejść obok żeremia i nawet go nie zauważyć. Druga ciekawostka: bobry wykorzystują do budowy wszystko, co im wpadnie w łapy – błoto, patyki, ale i plastikowe butelki, kółka od wózka i inne śmieci. I rzecz, która najbardziej mnie zaskoczyła – w Polsce, w XVII i XVIII w. bobry były uważane za ryby, więc można je było jeść w czasie postu.

Kiedy doszedłem do krańca wyspy i wypatrywałem, czy wśród wysokich starych drzew nie uwił sobie gniazda bocian czarny, który lubi takie okolice, nagle coś wybiegło z bajora. Na początku myślałem, że to klempa z łoszakiem, ale kiedy pobiegłem w tym kierunku, okazało się, że to trzy dziki.

Przed moim namiotem, na głogu, rano i wieczorem siadał drobny ptaszek i odśpiewywał swoje trele. Rano przygrywał mi do śniadania, wieczorem do zachodu słońca. Nic nie robiłem, po prostu siedziałem i wsłuchiwałem się w jego radosny, wiosenny gwizd, a od czasu do czasu sięgałem po lornetkę, żeby dokładniej mu się przyjrzeć. Sprawdziałem później w atlasie Collinsa „Ptaki”, ale jestem dopiero początkującym birdwatcherem i za nic nie byłem w stanie go zidentyfikować. Co mi nie przeszkadzało cieszyć się jego towarzystwem.

Podczas mieszkania na wyspie robiłem sporo zdjęć i filmików, żeby jak najwięcej z tego, co widzę, przekazać ludziom. Chciałem im opowiedzieć o tym, jakim skarbem jest Bug – ostatnia nieuregulowana rzeka tych rozmiarów w Polsce i jedna z ostatnich w Europie. To przyrodnicze cudo, które przypadkiem uchowało się przed regulacją za PRL-u ze względu na brak środków. Teraz rząd planuje to zmienić i wpompować w prostowanie, pogłębienie i betonowanie rzeki nawet 25 mld złotych. Po co? Żeby ją użegłownić i dostosować do transportu cargo.

Problem jest taki, że żadna z analiz ekonomicznych nie pokazuje, że to się opłaca. Nie wiadomo, co mielibyśmy rzekami przewozić (do regulacji ma iść

też Odra, Warta i Wisła) oraz kto miałby to robić i za ile. W dodatku mamy kolej cargo, której potencjał wykorzystujemy tylko w 18 proc. Po co budować nową infrastrukturę, skoro w 80 proc. nie wykorzystuje się istniejącej? Skala zniszczeń nadbużańskiej przyrody będzie katastrofalna. Trudna do oszacowania, ale możemy posłużyć się przykładami innych rzek, które zostały uregulowane. Ślina: po regulacji zginęło 80 proc. bezkręgowców, z rzeki zniknęły jętki, które są ważną częścią bazy pokarmowej pstrąga. Ner: w 2008 r. o połowę spadła liczebność ptaków mokradłowych, całkowicie zniknęło 6 gatunków. Łydynia: z 13 gatunków ryb zostały cztery, masa połowu z hektara spadła z 33 kg do pół (!) kilograma. Co regulacja oznacza dla Bugu? Załamanie się ekosystemu, a w kontekście rolnictwa i przekiętnego Polaka – wyższe ceny żywności.

Problem jest złożony i trudno go wytłumaczyć w jednym zdaniu, dlatego planuję podróż Bugiem. Zbuduję tratwę flisacką i w lipcu spłynę na niej Bugiem od granicy z Białorusią aż do Warszawy. Teraz na moim Facebooku (Mikrowyprawy) zbieram pieniądze na jej budowę, spływ i pracę, którą wykonam, żeby powstrzymać polityków przed regulacją rzeki.

Myślałem o tym wszystkim, kiedy siedziałem nad zakolem Bugu i próbowałem złowić okonia. Machałem wędką od goździny, ale nic mi nie wychodziło. Kiedy po wodzie przesunął się wielki cień, podniosłem wzrok i zobaczyłem lecącego nade mną orła. Najpierw myślałem, że to czapla siwa albo żuraw, którego łatwo tu zobaczyć, ale ptak był gigantyczny. Sięgnąłem po lornetkę i byłem pewien: orzeł. Wielki, majestatyczny, wymuszający pokorę na człowieku.

Na wyspie spędziłem jeszcze kilka dni i każdy był równie niezwykły. Cały czas nie mogłem uwierzyć w to, że od stolicy dzieli mnie tylko 40 minut i jestem w tak niesamowicie dzikim miejscu. Dlaczego chcemy je zniszczyć, a nie ocalić? ○

Lukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy.

Renata Matusiak

PODRÓŻ Z KROPKĄ



FOT. RENATA WATLUSIAK



PLAŻA DODANDUWA
 Jest szeroka, piaszczysta i spokojna.
 Oraz piękna. Leży w południowo-
 zachodniej części Sri Lanki. Można nią
 dojść do popularnego turystycznego
 miasteczka Hikkaduwa.

Kolombo wcześniej budzi się ze snu. Przed piątą rano ulice wypełniają się mężczyznami w sarongach, alternatywnie – w spodniach, i kobietami w sari. Część z pań nosi *salwar kamiz* albo po prostu bluzki i spódnice – długie lub do kolan. Kobiety malują lub przyklejają na czole kropkę. Kiedyś robiły to wyłącznie wyznawczynie hinduizmu, dziś religijne czy kulturowe znaczenie kropki, stającej się bardziej ozdobą, zanika.

Sklepy otwierają podwoje, wypełniają się dworce. W poczekalni dla kobiet ruch jak w ulu. Wszystkie się czeszą, myją zęby, poprawiają ubrania. Jedne się malują, inne podsypiają. Część pasażerek jest po nocnej podróży, reszta dopiero ją rozpocznie. W pociągach trzeciej klasy znalezienie miejsca siedzącego graniczy z cudem. W pakiecie z najtańszym biletem otrzymujemy niewyobrażalny ścisk. Gdy już prawie nie



FOT. RENATA MATYSIAK

Z BINDI

Mała wyznawczyni hinduizmu z mamą, babcią i kropką *bindi* na czole. Kropka bywa najczęściej w kolorze czarnym lub bordowym. Niegdyś była malowana mineralnymi pigmentami, współcześnie spotyka się *bindi* również w postaci papierowych naklejek.

da się szpilki wetknąć, sprzedawcy wszystkiego, ryzykując połamanie kości – swoich lub pasażerów – przeciskają się z ofertą: jabłkami, ostrą papryką, ananasami z solą i pieprzem oraz innymi specjałami.

BUDDA GÓRĄ!

W mijanych wioskach oglądam krowy zebu, a na polach ryżowych białe czaple. Przemknęły też indyjskie pawie. Historyczne miasto Anuradhapura jest niemal otoczone przez dżunglę. Wszędzie pełno małp. Witają mnie już na dworcu, gdzie hasają bez troski. W IV w. p.n.e. Anuradhapura była stolicą lokalnego królestwa i kolebką buddyjskiej władzy religijnej, ze względu na bliskość Mihintale, gdzie były głoszone nauki Buddy. Według zachowanych przekazów zaszczepiono tu gałązkę z drzewa, pod którego gałęziami Budda osiągnął nirwanę. Upamiętnia to świątynia poświęcona jego oświeceniu.

W sporym kompleksie historyczno-archeologicznym wyróżnia się kształt odwróconego do góry dnem kielicha na

cienkiej nóżce, wykonanego z białego marmuru. To charakterystyczna buddyjska świątynia zwaną stupą lub z syngaleskiego – dagobą. Marmurowa dagoba Ruwanwelisaya pochodzi z II w. p.n.e. i ma imponujące wymiary: obwód prawie 290 m, wysokość ponad 100 m.

Znacznie mniejsza pod względem rozmiarów, ale nie pod względem znaczenia, jest wyrzeźbiona w skale świątynia Isurumuniya z III w. p.n.e. Buddyści wierzą, że w jej wnętrzu jako relikwia jest przechowywany obojczyk Buddy – po ugaszeniu stosu znaleziono czyste szczątki kostne bez śladu sadzy. Na ścianach tego sanktuarium można podziwiać setki pięknych rzeźb i płaskorzeźb. W głównym budynku świątyni znajduje się ogromny kolorowy posąg leżącego Buddy, podobno w pozycji, w której zmarł.

Świątynie w skałach lub jaskiniach, podobnie jak wielkie posągi Buddy, są charakterystycznym elementem lankijskiego krajobrazu. Wizualnie dominują nad symbolami pozostałych trzech wielkich religii wyznawanych w tym kraju: chrześcijaństwa, islamu i hinduizmu. Warto dodać, że niektóre buddyjskie

klasztory są otwarte dla wszystkich, bez względu na wyznanie.

Ważnym miejscem jest Dambulla. Znajduje się tu Złota Świątynia, z olbrzymią złotą figurą Buddy na dachu, oraz kompleks świątyni jaskiniowych z mnóstwem jego wizerunków. Miasto pełni ważną rolę również dzięki ogromnemu targowisku, które funkcjonuje jak hurtownia. Wszędzie stopy całorocznych owoców, takich jak banany czy kokosy, oraz sezonowych: ananasów, rambutanów i imponujących rozmiarami dżakfrutów.

Kolejnego słusznego rozmiarów Buddę spotykam w Matale. Widoczna z daleka złota figura tkwi jakby zawieszona na zboczu zielonego wzgórza. Budda siedzi na wielkiej skale, u której podnóża znajduje się świątynia.

W autobusie do Matale dosiada się do mnie kobieta. Podoba jej się moja sukienka i pyta, czy też jestem muzułmanką. Noszę, tak jak ona, *salwar kamiz* (długą tunikę nakładaną na szerokie spodnie) z szalem założonym na

głowę. Przestałam go zakładać w indyjskim stylu, czyli przewieszony przez ramiona i związający z tyłu, bo spotykałam się wtedy z nastawianiem ze strony mężczyzn, zwłaszcza w środkach komunikacji. Pod tym względem podróżowanie w pojedynkę po Sri Lance było trudne. Natomiast z przykrytą głową nie miałam już tych problemów, nawet w zatłoczonych pociągach trzeciej klasy.

ŻYCIE BEZ KAWY I SPOSÓB NA PIJAWKI

Kandy, drugie pod względem wielkości miasto kraju, wita mnie olbrzymim korkiem przy wjeździe. Jest najważniejszym miejscem kultu religijnego buddystów na Sri Lance. Znajduje się tu dagoba, w której jest przechowywana inna relikwia Buddy – ząb. Kompleks świątynny oferuje dla każdego coś dobrego – wspaniałe budynki dla miłośników architektury i historyków, legendę o uciekającej księżniczce

MEMENTO PO TSUNAMI
Świątynia w Batticaloa. Po katastrofie tsunami w 2004 r. pozostała nietknięta, aczkolwiek przechylona. Dziś jest symbolem przypominającym tamto przerażające wydarzenie.



dla romantyków, no i spotkanie z buddyzmem dla poszukiwaczy duchowych przeżyć.

Wokół pobliskiego jeziora pary spacerują pod rękę, rodziny z dziećmi karmią dzikie kaczki. Potem kupują kolorowe świeże kwiaty lotosu na jednym z wielu straganów i zanoszą je do świątyni.

W rejonie Matale i Kandy uprawia się kawę, ale na Sri Lance nie ma zwyczaju jej picia. Serwują ją nieliczne kawiarnie zlokalizowane w największych miastach. Dziwnie też, że w kraju pysznych tropikalnych owoców trudno dostać świeży sok, chyba że w miejscach dla turystów. Lankijczycy najczęściej gaszą pragnienie wodą z kokosów.

Poznają Sajeewę i jego żonę Kalani. On pracuje jako zarządca plantacjami, m.in. herbaty w wiosce Gammaduwa. Przed ich domem rosną: imbir, okra, pomidory, kawa, awokado, mango. Pijemy herbatę z mlekiem i cukrem. Taką przyrządza się w większości lankijskich domów. W rogu salonu stoi pięknie oprawiona naturalnych rozmiarów weselna fotografia, niczym jedna z ulicznych reklam syngaleskiego salonu ślubnego. Panna młoda

jest w białym sari, z mnóstwem biżuterii. Pan młody – w złożonym bufiastym stroju i oryginalnej czapce z wygiętym rondem, w którym są zaznaczone cztery rogi. Wesele świętowali tradycyjnie, czyli osobno rodzina młodej i młodego. Trzy pierwsze dni pan młody mieszka u rodziców żony, potem razem przenoszą się do jego rodziny lub na swoje.

Przygotowujemy kolację, standardową lankijską potrawę, czyli kurczaka curry. Kalani w glinianym naczyniu podsmaża na oleju kokosowym najpierw liście curry i zmieszany pieprz, dodaje pokrojone drobne bulwy szalotki (czosnek askaloński), kurkumę, tylko trochę chili (ze względu na mnie) i na końcu kurczaka.

Rozmawiamy o ważnym na Sri Lance święcie, obchodzonym w połowie kwietnia, czyli nowym roku lankijskim. Na stole królują wówczas słodycze i wszyscy bawią się, organizując tradycyjne gry w formie konkursów. Wśród nich wyróżnia się walka na poduszki, która polega na tym, że uczestnicy siedzą na belce z jedną ręką związaną za plecami, w drugiej trzymają poduszkę i próbują nią zrzucić



OBIAD U ZARZĄDCY
Saajewa, zarządca plantacji herbaty w Gammaduwa, z żoną Kalani podczas kolacji, na którą przygotowali swoją ulubioną potrawę – kurczaka curry.



FOT. BEWATA MATUSIAK

przeciwnika. Oryginalną konkurencją jest rozbijanie z zawiązanymi oczami wiszących glinianych garnków.

Jedziemy oglądać plantacje. Na skraju lasu, przez który przejeżdżamy, rośnie kardamon i cynamonowce. Na łagodnie opadających zboczach ciągną się kilometrami zielone herbaciane krzewy. Kilka kobiet z przewieszonymi przez głowę i zwisającymi na plecach workami zrywa listki herbaty. Próbuje i ja. Po chwili na odsłoniętych do łokcia rękach i stopach widzę czerwone plamy świeżej krwi. Zaatakowały mnie pijawki. Tamiłskie kobiety zbierające herbatę chodzą boso, ale nie widzę, by miały

pokrwawione nogi. Mówią, że dla ochrony smarują je mydłem lub liśćmi tabaki.

RYBKĄ U NAUCZYCIELA

W Rattocie niedaleko Matale stromą drogą, wzdłuż której wysoko pnie się pieprz ze zwisającymi kiściami zielonych owoców, dojeżdżam tuk-tukiem do Lawrence'a. Jego dom tonie w egzotycznej roślinności. W ogrodzie rosną kakaowce, palmy kokosowe, maniok, durian – pyszny owoc o odpychającym zapachu, drzewo bochenkowe wydające dzakfruty i jagodzian rambutan (najbardziej włochaty owoc świata).

SIGIRIJA, SKAŁA KASSAPY

Olbrzymia i otoczona ogrodami skała Sigiriya, tkwiąca jakby zagubiona wśród wielkiej równiny. W V w. król Kassapa zbudował na jej szczycie twierdzę pałacową, po czym zamienił to miejsce w stolicę królestwa. Po jego śmierci pałac został opuszczony, a do dziś zachowały się tylko fundamenty.



LAWRENCE Z RATTOTY

W kuchni z tradycyjnym lankijskim glinianym piecem. Podstawki do garnków są ceramiczne, a ogień pod nimi reguluje się, dodając lub ujmując patyków. Przy kuchni – nauczyciel z Rattoty, Lawrence.

Lawrence jest nauczycielem. Po wielu latach pracy w innych miejscowościach wreszcie wrócił do rodzinnego miasteczka. Na Sri Lance nauczyciele kierują się w różne miejsca, by zdobywali doświadczenie w rozmaitych środowiskach. Jego żona Oszandi, w sari w stylu indyjskim, podaje herbatę z mlekiem oraz ciasto. Ściany mieszkania toną w próbach rytmicznych ich kilkuletnich dzieci.

Przygotowujemy rybę chili. Oszandi smaży na oleju kokosowym czosnek, cebulę, dodaje limonkę (i tylko łyżkę chili zamiast dwóch i pół) oraz kawałki ryby. Świeżo starty na wiórki kokos miesza z wodą, wyciska i powstaje w ten sposób mleko, które dodaje do ryby oraz do przygotowywanego osobno curry z nikli indyjskiej. Gotujemy także ryż z szafranem. Z wody, mąki i kokosu robimy kokosowe chlebki roti, które zjemy następnego dnia na śniadanie wraz z ziemniakami curry.

TYLE ŚWIĄT, ILU BOGÓW

W Batticaloa, na wschodnim wybrzeżu, spotykam wiele chrześcijańskich kościołów i klasztorów, ale miasto zamieszkuje też sporo wyznawców politeistycznego hinduizmu. Każde z bóstw ma przypisaną sobie odpowiednią dziedzinę życia, którą się opiekuje. Na wielu skrzyżowaniach czy rozstajach dróg stoi przystrojony kwiatami posąg bożka Ganeśy, który jest przedstawiany jako ludzka postać z głową słonia.

Chrześcijaństwo dotarło tu w XVI w. wraz z Portugalczykami. To oni w Batticaloa, na jednej z niewielkich wysp, podobnie jak i w innych miejscach Sri Lanki, zbudowali dobrze strzeżoną twierdzę, otoczoną z dwóch stron laguną, a z pozostałych dwóch kanałem. Później fort

SYMBOL WSZECHŚWIATA

Stupy mają oddawać buddyjską koncepcję wszechświata. Solidna kopuła przedstawia niebo otaczające „góre świata”, która przebija kopułę i tworzy mały balkon na szczycie. W centrum znajduje się maszt symbolizujący oś Ziemi, wznoszącą się z wód aż do kosmosu. Na zdjęciu stupa w Imanaluwa.





TAJEMNICZE

Naścienne malowidła wzdłuż schodów prowadzących do pałacu na szczycie skały Sigirijsa. Kim były te postacie i dlaczego zostały tam namalowane? Do dzisiaj ozdobione bransoletkami, naszyjnikami i diademami kobiety pozostają tajemnicą.

dostał się w ręce Holendrów, następnie Brytyjczyków. Do dziś można podziwiać jego mury.

Ledwo przebrzmiało echo okrutnej wojny domowej pomiędzy Tamilami a Syngalezami, gdy w 2004 r. sporą część wyspy spustoszyło tsunami. Ludzie słyszeli komunikaty ostrzegawcze, ale nie wiedzieli, co to jest. Nie potrafili sobie tego żywiołu wyobrazić. Jako żywy pomnik katastrofy pozostawiono na plaży zniekształconą potężnymi falami świątynię hinduistyczną. Wygląda jak porzucone przez dziecko klocki, z których chwilę wcześniej zbudowało misterną konstrukcję. Wchodzę na teren, który był świątynnym ogrodem. Jakby znikąd pojawia się chłopak i mówi mi, że zapomniałam zdjąć buty...

Rodzina Pusha, podobnie jak większość Tamilów, wyznaje hinduizm. W domu mają pokój do modlitw, a w nim ołtarzyk z kilkoma bożkami, wybranymi wśród mnóstwa innych. Rozpoznaję wizerunek kobiety z dzbanem pieniędzy, które wysypują się do miski – to Lakszmi, bogini bogactwa i dobrobytu.

W listopadzie wyznawcy hinduizmu obchodzą święto Diwali. Kilka dni wcześniej oddają się szałowi zakupów i dekorują domy. Przygotowują z tej okazji specjalne potrawy, ubierają się w nowe stroje, spędzają czas z rodziną, wręczają sobie prezenty, chodzą do świątyni. Lankijczycy chwają się, że obchodzą mnóstwo świąt. Rzeczywiście, lista tych oficjalnych jest bardzo długa, ale w większości są one dniami wolnymi tylko w państwowych instytucjach.

Wstaję przed słońcem i idę na plażę oglądać jego wschód. Kilku rybaków krząta się wokół swoich sieci i kolorowych łodzi. Mniejsze i większe kraby z rodziny *Ocyropodidae* drążą w piasku tunele i chowają się w nich albo wychylają nieśmiało przez niewielkie otwory. Wschodzące słońce też nie może się zdecydować, czy świecić mocnym blaskiem, więc pomalowało niebo na kolorowo, a teraz chowa się za chmurami. Na twarzy czuję morską bryzę i zapach soli... ○



Renata Matusiak

Nauczycielka, przez dwa lata pracowała w Kirgistanie jako lektorka języka polskiego na Kirgisko-Rosyjskim Uniwersytecie Słowiańskim. Prowadziła audycje „Polonia” w Programie I Kirgiskiego Radia. Odwiedziła 60 krajów. Podróżuje sama, niskobudżetowo, najczęściej autostopem.



POLSKA NIEZNANA
Mikołaj Gospodarek

PRZYSTAŃ NA DOLNYM ŚLĄSKU

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Uwielbiam Dolny Śląsk. Ta rozległa kraina ma przeróżne oblicza i bardzo długo szukałem w niej swojego miejsca. Przez wiele lat był nim Kartów z Górą Stołową. Później zafascynowały mnie Rudawy Janowickie z Karpnikami i Miedzianką na czele. Dzisiaj wiem, że przez cały czas czekałem na odkrycie Grodzca.

To niewielka miejscowość, położona u stóp bazaltowego wzniesienia, na którego szczycie znajduje się późnogotycki zamek. Gdy zobaczyłem panoramę okolicy z wieży zamkowej, nie potrafiłem ukryć zachwytu. Malownicze pagórki, pola, lasy, a w tle wyraźna linia Karkonoszy. Wszystko, co fascynuje mnie na Dolnym Śląsku, mam tutaj na wyciągnięcie ręki. Po drodze na zamek trafiłem do uroczego pensjonatu Monte Cuma. Poranny widok z okna na okolicę jest niezwykły, a wieczorna cisza to kropka nad i po dniu pełnym wrażeń. Zaczekałem w Grodźcu, który stał się moim „portem”. Stąd wyruszam odkrywać dolnośląską krainę.

Góry, miasteczka, zamki i pałace – za te cztery rzeczy uwielbiam Dolny Śląsk.

W okolicy Grodzca ich nie brakuje. Cała okolica to Kraina Wygasłych Wulkanów. Na szczytach wielu z nich znajdują się ruiny zamków. Zazwyczaj, jeśli drzewa nie przeszkadzają, są to genialne punkty widokowe. Górzące nad okolicą stożki widać z daleka.

Na odkrywanie tajemnic wyjeżdżam w kierunku Lwówka Śląskiego. Malowniczymi drogami przez Czaple i Bielankę trafiam do przeuroczego miasteczka. Poniemiecka architektura, oryginalny układ urbanistyczny sprzed wieków i na dodatek sporo klimatycznych zakątków. Spacer po Lwówku, Złotorii czy Gryfowie Śląskim to prawdziwa podróż w czasie. Mogę godzinami błąkać się po wąskich uliczkach, podglądając codzienne życie mieszkańców. Często turysta jest dla nich

zaskoczeniem. Gdy chodziłem z aparatem po starych podwórkach, wiele razy brano mnie za wysłannika komornika lub podejrzewano, że typuję budynki do rozbioru.

Wracam na kręte, wąskie drogi i jadę do Leśnej. Od czasu emisji serialu „Tajemnica twierdzy szyfrów” w TVP zupełnie inaczej odbieram te okolice. Po wizycie w malowniczym miasteczku udaję się do pobliskiego zamku Czocho, który do dzisiaj kryje wiele legend i tajemnic. W zamku funkcjonuje hotel i restauracja. O określonych godzinach odbywa się zwiedzanie z przewodnikiem. Lubię podziwiać bryłę zamku Czocho z daleka, a dokładnie z przystani żeglarskiej Izery. Dojeżdża się do niej szutrową drogą, która odchodzi w dół z asfaltu prowadzącego w kierunku Złotników Lubańskich i drogi

nr 360. Można zostawić samochód w tym miejscu i udać się na spacer nad Jeziolem Leśniańskim. To właśnie nad jego wodami góruje zamek Czocha. Jest to tak naprawdę zalew na rzece Kwisie. Ciekawą budowlą jest zaporę wodną, która znajduje się kilkaset metrów na zachód od zamku.

Z Leśnej warto pojechać przez Lubomierz do Wlenia. To z pozoru małe miasteczko kryje ogrom zabytków. Po drodze niezwykle interesujące jest Muzeum Kargula i Pawlaka, bohaterów filmu „Sami swoi”. We Wleniu bardzo ciekawie prezentuje się oryginalnie zachowana zabudowa miejska. Okolice ma do zaoferowania dwa zabytkowe pałace, dwa kościoły, o których wzmianki pojawiają się już w XII w., XIX-wieczne kamienice w rynku, pomnik gołębiarki z 1914 r. i całą masę niezwykle ciekawych detali miejskich. Miejscowi kojarzą głównie pobliskie Jezioro Pilichowickie. To kolejny zbiornik wodny na Dolnym Śląsku, na którym można podziwiać potężną zaporę, zatrzymującą wody rzeki Bóbr. Dzięki swojej urodzie zaporę wielokrotnie stawiała się planem filmowym.

W poszukiwaniu ciszy i spokoju lepiej udać się w kierunku Grodzca. Wcześniej jednak koniecznie trzeba przejechać przez Złotoryję. Najstarsze miasto w Polsce, które prawa miejskie otrzymało w 1211 r., kryje ogromne kontrasty. Widać,

że przed wojną musiało być niezwykle prężnym i bogatym ośrodkiem przemysłowym. Dzisiaj wpisuje się w otoczenie, z jednej strony strasząc niszczącymi budynkami po opuszczonych zakładach i fabrykach, a z drugiej urzeka niezwykle małym miasteczkowym klimatem. Przed laty dobrze prosperował tutaj przemysł włókienniczy i papierniczy. Położona na wzgórzach Złotoryja przyciąga i zarazem odpycha. Jak do wielu dolnośląskich miasteczek, trzeba nabrać do niej dystansu. Ja staram się dostrzegać w takich miejscach tylko ich piękno. Oczami wyobraźni sięgam w przeszłość i chcę podziwiać Lwówek Śląski, Gryfów Śląski, Leśną, Wleń czy Złotoryję jako miejsca z bogatą przeszłością, które mimo wielu lat PRL-u i niszczących ich urodę decyzji zachowały niepowtarzalny klimat.

Koniecznie trzeba zajrzeć do kopalni złota Aurelia i zwiedzić Muzeum Złota. W centrum warto wejść do baszty Kowalskiej, zobaczyć pozostałości XIV-wiecznych murów obronnych i oczywiście zabytkową starówkę z malowniczymi kamieniczkami.

W okolicach rynku można zobaczyć małe zakłady rzemieślnicze, które niestety bardzo szybko znikają bez kontynuatorów rodzinnych tradycji. Na pl. Matejki 3 znajduje się zakład szklarski, w którym czas się

zatrzymał. Wszedłem tam w czasie ostatniej wizyty na chwilę, udając, że szukam lustra. Z wielką nostalgią i łezką w oku oglądałem takie miejsca. W Złotoryi bez problemu można znaleźć zakład szewca, kaletnika czy małą lokalną piekarnię.

Z radością wracam do Grodzca. Wychożę do lasu otaczającego zamek i piękną leśną drogą mogę spacerować w ciszy i spokoju. Po takiej dawce emocji, legend, tajemnic i małym miasteczkowego gwaru dobrze jest zaznać ciszy w leśnej głuszy. Wieczorem, kiedy Grodziec kładzie się spać, siadam przy oknie, podziwiam mgły snujące się po polach i wsłuchuję się w odgłosy zasypiającej dolnośląskiej wioski. Wyteżając wzrok, mogę dojrzeć sylwetkę Śnieżki i całego pasma Karkonoszy. Ten dolnośląski raj mam na wyciągnięcie ręki, a na szczęście mogę go podziwiać i poznawać, ruszając ze spokojnej przystani. ◉

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.



Marta Legieć

DOM BOGINI PIĘKNA

Mijany krajobraz zmienia się jak w kalejdoskopie, serwując raz surową księżycową panoramę, innym razem bajkowe plenery z granatowym morzem w tle. Witajcie na Cyprze, wyspie miłości i kontrastów.



S wój charakter Cypr zawdzięcza słońcu i plażom, ale też antycznym miastom, gajom oliwnym, sławnym na cały świat winnicom i pachnącym pomarańczami sadom. To miejsce pozwalające uciec w wakacyjne zapomnienie.



FOT. MARTA LEGEC

ZNAJDŹ MIŁOŚĆ

Po leżakowaniu i kąpielach warto wybrać się na poszukiwanie kamieni w kształcie serca. Pomogą one znaleźć wielką miłość.

SERCE Z KAMIENIA

Jeśli nie zobaczycie Skały Afrodyty, nie byliście na Cyprze. Po prostu. Afrodyta, grecka bogini piękna, miłości, kwiatów, pożądania i płodności, dobrze wiedziała, co robi, wylaniając się z morza w okolicy cypryjskiego Pafos. Pozostawiła tu miłosny ślad i teraz, aby pomóc losowi i zagwarantować sobie odwzajemnioną miłość, trzeba wśród kamyków odnaleźć choć jednego otoczaka w kształcie serca. Warto szukać.

Bogini na wyspie ma też swoje łaźnie, do których przyprawiała kochanków na wspólne kąpiele, a dzięki właściwościom znajdującej się tam wody za każdym razem odzyskiwała dziewictwo. Woda wciąż płynie, ale kąpać się w niej nie wolno. Trudno więc stwierdzić, jak działa.

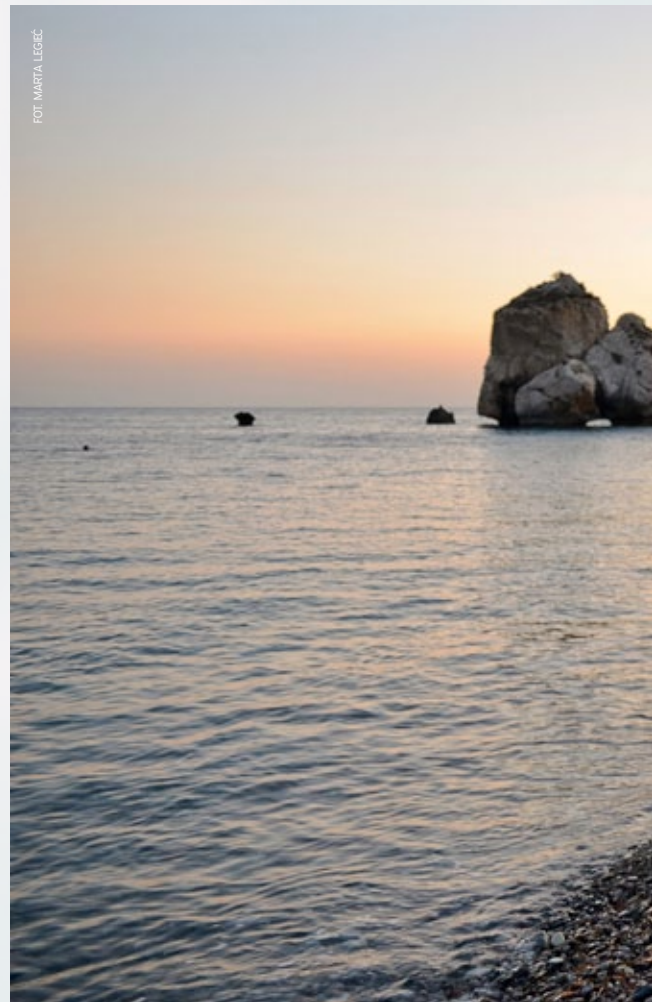
Urodziła się tu nie tylko Afrodyta, ale też ojciec George'a Michaela, a sam muzyk w cypryjskiej miejscowości Peja w okolicy Pafos spędzał sporo czasu. Właśnie tam postawił jedną ze swych wielu luksusowych rezydencji, o czym niewiele osób pamięta. Dowodzi to tylko, że Cypr potrafi zaskakiwać na wiele sposobów.

Również na Cyprze ostatnie trzydzieści lat swojego życia spędził Łazarz i tu został pochowany. Wskreszenie Łazarza przez Jezusa czwartego dnia po śmierci należy do najważniejszych opowieści Nowego Testamentu. Dziś pamiątką po nim jest kamienny kościół Agios Lazaros w Larnace.

Czy to koniec cypryjskich opowieści o wielkich postaciach? Ależ skąd! W Limassol usadowił się zamek Ryszarda Lwie Serce, który wziął w nim ślub z Berengarią z Nawarry. Gdy już tu dotrzecie, zajrzyjcie do supernowoczesnej marina, w której cumują najbardziej luksusowe jachty na świecie.

BŁĘKITNE FLAGI, RÓŻOWE FLAMINGI

Na wyspie jest wiele turystycznych hitów, ale też miejsc spokojnych, w których można zapomnieć o całym świecie. Jeśli chcecie się o tym przekonać, wybierzcie się na cypryjską plażę. Mają naprawdę wiele do zaoferowania, aż 39 ma przyznaną Błękitną Flagę.



FOT. MARTA LEGEC

Jeśli wakacje chcecie spędzić, leżąc, sącąc drinki i słuchając szumu morza, najlepiej kierujcie się w okolice miast Ajia Napa i Protaras, gdzie znajdziecie najpiękniejsze plaże, luksusowe hotele i urokliwe promenady. Potrafią zachwycić, choć dla mnie najbardziej oryginalną jest plaża Gubernatora w okolicy Limassol, na której białe jak śnieg klify w nieregularnych kształtach kontrastują z czarnym, drobnym piaskiem. Równie duże wrażenie robi plaża Lara, położona na północno-zachodnim skraju wyspy. Miejsce to nie należy do popularnych i często odwiedzanych przez turystów. Od czerwca do września jest miejscem łęgowym żółwi kareta i zielonych. W tym czasie służby ochrony przyrody zamykają dostęp do plaży, aby zminimalizować stres u zwierząt. Żółwie są tak ważne dla wyspy, że widnieją nawet na tutejszych banknotach.

W pobliżu Larnaki warto się zrelaksować na plaży Mackenzie, a po leniuchowaniu wskoczyć na deskę z żaglem i nauczyć się pływać. W centrum szkolenia windsurfingu pracują pasjonaci z całego świata, którzy już za 30 euro



ŚLADAMI ŁAZARZA

Podążając tropem Łazarza, trafimy do najśłynniejszego zabytku Larnaki – kościoła Agios Lazaros z początku X w. Położony w centrum miasta obiekt jest uznawany za jeden z najznakomitszych zabytków bizantyjskich na wyspie.



NARODZINY BOGINI

Afrodyta – bogini miłości i płodności, piękna i pożądana – miała wyłonić się naga z morskiej piany tuż przy skałach zwanych Skałą Afrodyty (Petra tou Romiou).

nauczają podstaw i pojętym uczniom wydadzą wymagane w wielu klubach książeczki, pozwalające m.in. na wynajem sprzętu do windsurfingu. Jeśli jednak nie macie czasu na wycieczki poza miasto, plaża Finikoudes w centrum Larnaki zaprasza. Można wyskoczyć na relaks na słońcu wprost z tawerny czy pubu, bez dojeżdżania gdziekolwiek.

Larnaka zaskakuje jeszcze jedną niespodzianką – wielkim jeziorem, w którym brodzą setki flamingów. Tuż przy nim stoi przykuwająca z daleka wzrok olbrzymia budowla. To meczet Hala Sultan Tekke, miejsce pielgrzymek muzułmanów z całego świata. Jezioro latem wysycha, zimą zaś napęlnia się wodą. To wtedy pojawiają się tu ogromne stada różowych flamingów, działających jak magnes na turystów.

MOŻNA DOSTAĆ KOTA

Są dosłownie wszędzie – przechadzają się po promenadach, pilnują rybaków w portach i bram w świątyniach. W restauracjach i kawiarniach ocierają się o nogi turystów, mrużąc tak, jakby burczało im w brzuchach. Nie dajcie się nabrać. Cypryjskie koty są zadbane i najedzone, często wypasione ponad normę. Są też sprytne. Dobrze wiedzą, jak wzbudzić litość i skłonić przyjezdnych do sięgnięcia po

PLAŻOWICZ

Cypr jest często nazywany wyspą kotów. Są one wszędzie – przy restauracyjnych ogródkach, w portach, pod kościołami, w centrach miast, a także na plażach.



FOT. MARTA LEGEĆ

najlepsze kąski z talerzy. Również wygrzewającym się na leżakach turystom włożą niemalże na głowę i miauczeniem domagają się uwagi. Zwykle dostają to, czego oczekują.

Dla wielu osób Cypr nie jest wyspą Afrodyty, a właśnie kotów. Legenda głosi, że sierściuchy na wyspę sprowadziła w IV w. matka cesarza Konstantyna Wielkiego – św. Helena. Miały pomóc unicestwić jadowne węże, które po 36-letniej suszy namnożyły się tu niczym króliki. Batalion kotów przywieziono na Cypr statkami. Wypuszczono je na południowym krańcu wyspy, który nazwano Kocim (Kapo Gata). Zwierzaki zadanie wykonały perfekcyjnie, potrzebowały jednak pomocy. Dla rannych w walkach kotów zbudowano monaster, w którym zakonnicy je karmili i leczyli. Miejsce to zyskało nazwę Kocięgo lub monastynu Świętego Mikołaja od Kotów. Jest to prawdopodobnie najstarszy klasztor na wyspie,

FOT. MARTA LEGEĆ



KAWO GREKO

Przylądek o tej nazwie jest najdalej na południowy wschód wysuniętą częścią Cypru. Wysokie skały serwują piękne panoramy Morza Śródziemnego.

w którym jak dawniej słyhać głośne mruczenie. Znalazło w nim dom około stu kotów. Są też mniszki zajmujące się ich karmieniem.

Dzisiaj koty rządzą wyspą i nie ma w tym określeniu odrobiny przesady. Sama zakochałam się w puchatym rudzielcu, który zaczepiał mnie na hotelowym dziedzińcu. Chodził za mną jak cień, zawsze skłonny do zabawy, nadstawiał uroczy pysk do drapania, patrząc prosto w oczy. Manipulant nie z tej ziemi. Zawładnął moim sercem do tego stopnia, że po kilku dniach zwierzyłam się obsłudze hotelu, że jestem bliska adopcji kociego przyjaciela. Jakież było moje zdziwienie, kiedy usłyszałam, że nie pierwsza wpadłam na taki pomysł. Co więcej, wiele osób realizuje ów plan.

– *Wiele hoteli, tak jak nasz, współpracuje z organizacjami pomagającymi w adopcji kotów żyjących na Cyprze na wolności – zaczęła mi tłumaczyć Anastasia Rumjanceva z Palm*



WSKAŹE DROGĘ DO ZABYTKÓW

Na południowo-zachodnim brzegu wyspy, w pobliżu Pafos, stoi od 1888 r. latarnia morska. W pobliżu znajduje się park archeologiczny Kato Pafos, w którym zachowały się wspaniałe mozaiki.

PALMOWA PROMENADA

W Larnace wzdłuż wybrzeża rozciąga się promenada zwana Finikoudes, czyli Palmowa. Jest popularnym miejscem spędzania wolnego czasu o każdej porze roku.

Beach Hotel w Larnace. – Zwykle to turyści z Niemiec regularnie wyjeżdżają od nas z kotami mieszkającymi w pobliżu hotelu. Zaprzyjaźniają się z nimi, a potem nie chcą się rozstać. Jeśli decydują się na przejście niezbędnych procedur, mali przyjaciele jadą do domu z nimi.

NA CZERWONYCH BLACHACH

Cypr to wyspa sportowców: windsurferzy odnajdują na niej dobre wiatry i ciepłą wodę, cykliści – odpowiednio przygotowane trasy, a offroadowcy i quadowcy – szlaki, które wyzwalają odpowiedni poziom adrenaliny.

To właśnie tutaj co roku przyjeżdżają na zgrupowania piłkarze. Zawodników Lecha Poznań, Polonii Warszawa czy Pogoni Szczecin można często spotkać na plażach w okolicach Ajia Napa, Limassol i Pafos.



Sportowego ducha można poczuć też na rowerze. Taka podróż daje szansę na spotkanie mieszkańców, podziwianie z bliska ich życia. Ścieżki rowerowe na wielu odcinkach są przygotowane perfekcyjnie i serwują bajkowe widoki na spienione morze, piękne plaże i zalesione góry. Wśród ulubionych regionów cyklistów są góry Troodos, półwysep Akamas oraz przylądek Kawo Greko.

stresu i obaw, że będę stanowiła dla Cypryjczyków zagrożenie. Czerwona rejestracja dodawała mi otuchy.

Samochodem z jednego krańca Cypru na drugi można przejechać w kilka godzin. Lepiej jednak się nie spieszyć i zarezerwować nieco czasu na błądzenie po wiejskich drogach. Jeśli jednak zapragniecie zwiedzać w szybkim tempie, w ciągu kilku godzin dotrzecie z Larnaki



Również podróż autem jest świetnym sposobem na poznanie Cypru. Samochód można wypożyczyć bez najmniejszego problemu. Te, którymi jeżdżą turyści, wyróżniają się czerwonymi tablicami rejestracyjnymi. Dla miejscowych to znak, że delikwent kierujący autem mógł nie do końca osiąść umiejętność jeżdżenia po lewej stronie i lepiej na niego uważać. Sam turysta może być za to pewien, że nikt nadmiernie nie będzie na niego trąbił. Wiem, co mówię, zjechałam całą wyspę bez

do Nikozji, ostatniej na świecie podzielonej stolicy, albo do położonego na zachodzie kurortu Pafos, w którym świetnie zachowały się starożytne mozaiki.

JEDZ POWOLI

W tawernach jest różnorodnie, smacznie i... bardzo obficie. Jeżeli chcecie zjeść jak Cypryjczycy, korzystajcie z małych tawern, które może nie zachęcają z zewnątrz, ale zawsze

GOŚCINNY MONASTYR

Kameralne wioski oferują ciszę i spokój. W zabytkowych monastyrach przesiadują okoliczni mieszkańcy, skłonni poczęstować domowym specjałem.



FOT. MARTA LEGEC

SŁODKIE WAKACJE

Tradycyjne *glyko*, czyli owoce w syropie, to delicje, których trzeba spróbować. W niczym też nie przypominają polskich słodczy.

mają gościnnego właściciela zapraszającego na pyszną kawę *metrio*, łyk dobrej ziwaniyi czy comandarii.

– *Slowly, slowly* – uśmiechał się do nas Jannis, wysoki brunet, stawiając na stole drugą porcję przystawek. Dobrze wiedzieliśmy, co ma na myśli. Do *meze* należy podchodzić ostrożnie, bowiem to nie danie – to cypryjski sport narodowy, skupiający w sobie wszystkie miejscowe smaki, wszystko, co najlepsze.

W zależności od tego, na jaką wersję postawicie, otrzymacie *meze* rybne, mięsne lub mieszane. Dań jest kilkanaście, a w wersjach ekstremalnych nawet kilkadziesiąt. Warto być tego świadomym i na pierwsze podawane porcje nie rzucać się łączywie, bowiem zaraz po nich pojawiają się kolejne i kolejne. Początek nie zapowiada bólu brzucha z przedjedzenia. Końcówka bywa dramatyczna – oczy wciąż chcą jeść, organizm zaczyna się buntować, nawet na widok ulubionych smakołyków.

Cypr świetnie smakuje o każdej porze roku, choć dla mnie najsmaczniejsza jest wiosna, kiedy na słońcu wygrzewają się świeże brzoskwinie i morele. Zaraz po nich do głosu dochodzą pełne soku arbuzy, sprzedawane na każdym stoisku z owocami. Cudownie smakuje też jesień, kiedy stragany przydrożnych sprzedawców zaczynają uginać się pod pełnymi soku figami w kolorze ciemnego złota, nawet czerni. Trudno zapomnieć ich smak, podobnie jak pochodzących stąd serów – *halloumi*, *kefalotiri* i *anari*.

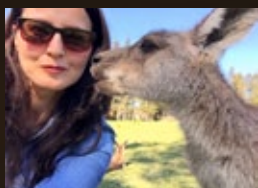
CZEKAJĄC NA MEZE
Rankiem tawerny są puste. Zapełniają się w południe i nie cichną do północy, często dłużej. Jeśli chcecie poczuć smak Cypru, zamówcie *meze*.

Za każdym razem, kiedy jestem na Cyprze, uzależniam się od *halloumi*. Jadam je, kiedy tylko są w zasięgu ręki. Pora dnia nie ma znaczenia. Biały, półtwardy i elastyczny ser to tutejsza duma, a jego receptura nie zmieniła się od setek lat. Fantastycznie smakuje zdjęty prosto z grilla, ale jeszcze lepiej świeży, tuż po wyjęciu z wielkiego garnka, w którym go wyprodukowano. Gospodynie, wzorem matek i babek, regularnie wyrabiają *halloumi* w domach. Wystarczy wyjechać poza miasto, by się o tym przekonać.

Czego chcieć więcej? Może wina? Przecież właśnie na Cyprze produkuje się najstarsze wino świata, dziś jeden z symboli wyspy, winiarską ikonę. Cztery tysiące lat temu właśnie tu powstała *commandaria*. Nie wracajcie do domu, jeśli jej nie spróbujecie. ◯



FOT. MARTA LEGEC



Marta Legieć

Z wykształcenia geograf,
z zawodu dziennikarka,
z zamiłowania fotograf.
Z równą ciekawością odkrywa
Tokio i Suwalki. Wielbicielka
dobrej kuchni i Gdańska,
w którym mieszka.



Bartłomiej Kończak

KOŁO WARTY

Nazwa Koło najprawdopodobniej wynika z niezwykłego położenia miasta – dawna osada była otoczona korytem rzeki. Oprócz Warty sieć wodną tworzą jej dopływy: Ner, Kiełbaska, Rgilewka, Warcica, i wiele pomniejszych strug i strumieni. Warta od dawna była poddawana rosnącej presji ze strony człowieka, ale w wielu miejscach krajobraz zachował dziki charakter.



Przełom kwietnia i maja to najciekawszy okres na podziwianie przyrody. Zdarzają się wiosenne burze, a nad kwitnącymi łąkami często pojawiają się tęcze. Dookoła słychać śpiew ptaków.



Bardzo silny nurt oraz zmiany stanu wody powodują, że co roku brzegi wyraźnie się zmieniają.
Poprzewracane drzewa i konary leżące w rzece to częsty widok.

Rycyk sfotografowany w okolicy wsi Ochle-Dzierawy. Gniazduje tu wiele gatunków ptaków związanych z pastwiskami i łąkami nadrzeczными.



Ujście Neru
do Warty, od strony
miejsowości Majdany.
Skarłowaciała wierzba
najprawdopodobniej
przeżyła uderzenie
pioruna. Została
sfotografowana
w noc spadających
gwiazd (maksimum
Perseidów). Małe
zanieczyszczenie
światłem pozwoliło
uwiecznić w kadrze
Drogę Mleczną.



Bocian biały przelatujący nad polami to popularny widok nad Wartą.
Fotografia została wykonana we wsi Podlesie, na obszarze Natura 2000.



Urokliwy zakątek z wieloma drzewami o nietuzinkowym wyglądzie, jak ta wierzba krucha w kształcie litery V. Jest tam również duża plaża pełna muszli. To piękne miejsce leży na półwyspie, gdzie starorzecze łączy się z głównym korytem rzeki.



W Kolec historia przemawia prawie z każdego miejsca.
Malowniczo położone ruiny zamku z XIV w. są na to doskonałym przykładem.



Okolice wsi Ochle – tereny zalewane, w znacznym stopniu pastwiska i łąki o bogatej mikrokonfiguracji oraz międzywale, zajęte przez zakrzewienia wierzbowe poprzecinane torfiankami.



Nadwarciański zimorodek. Bogactwo przyrodnicze jest tu tak duże, a gatunki na tyle rzadkie, że wszystkie wielkoprzestrzenne waloryzacje przyrodnicze wskazują na dolinę środkowej Warty jako obszar o znaczeniu międzynarodowym. A jednak nadal niedocenianym i zaniechanym.



Bartłomiej Kończak

Mieszka w miejscowości Kolo. Z wykształcenia jest geodetą i próbuje połączyć pasję z codziennymi obowiązkami. Zaczynał od fotografii rodzinnej i reportażowej. Czasami fotografuje śluby i sesje portretowe w plenerze, jednak najbardziej pasjonuje się fotografią dzikiej natury i krajobrazu. Inspiruje go również architektura i zabytki, zwłaszcza te położone w ciekawym otoczeniu.

Rzeka w całej okazałości prezentuje się w okolicy wsi Waki. Niezwykłe zróżnicowany brzeg oraz mnóstwo ptaków i zwierząt. Spora odległość od miasta i głównej drogi sprawia, że teren jest niezaśmiecony i dziewiczy.



PIERWSZA W EUROPIE, DRUGA NA ŚWIECIE

Mówi się o niej w samych superlatywach. Podkreśla jej pionierski, postępowy charakter. Jesteśmy z niej dumni, a dzień jej uchwalenia to jedna z najważniejszych dat w historii Polski. Do dziś zachowały się tylko trzy oryginały rękopiśmienne Konstytucji 3 maja. Wszystkie są przechowywane w najstarszym polskim archiwum publicznym – Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie.

Ostatnio spotkałam się z kontrowersyjną tezą, że muzea... w ogóle nie są potrzebne! Argumentacja była tak absurdalna, że nie będę jej nawet przytaczać. Owszem, digitalizacja zbiorów czy możliwość oglądania dzieł sztuki w internecie to bezcenne inicjatywy. Ale wirtualne zwiedzanie to nie wszystko, liczy się też bezpośredni kontakt ze sztuką. Muzeum to specyficzny świat, unikalna atmosfera, miejsce, gdzie każdy najmniejszy szczegół tchnie tajemnicą. Tego się nie da podrobić. Muzea są zbędne? To jakby wmiać himalaście, że wirtualne wejście na K2 jest tym samym, co autentyczne zdobycie szczytu.

Wspomniana teza zdenerwowała mnie, zadziwiła i przerażyła. Ostatecznie zrodziła bunt. W związku z tym zdecydowałam się podczas majówki zostać na miejscu, w Warszawie, i po prostu zwiedzać muzea. Dla mnie to piękny sposób na spędzanie wolnego czasu, choć wiem, że niektórym właśnie przeszły ciarki po plecach. Tak czy inaczej, już sam plan

wprawił mnie w iście szampański nastrój. Przeszła mi cała złość, powrócił rozsądek. I wiara w to, że muzea jednak przetrwają. Nie tylko one zapewne. Istnieją przecież miejsca, które choć nominalnie muzeami nie są, to pełnią (prawie) takie same funkcje, w tym przede wszystkim zajmują się gromadzeniem rozmaitych zbiorów. Te miejsca to biblioteki oraz archiwa.

Znaczenie tych instytucji jest nie do przecenienia. Jednak prawdą też jest, że nie wszyscy mają do nich dostęp na co dzień, zwłaszcza do archiwów. Chociaż udostępniają one swoje zbiory wszystkim zainteresowanym, a nawet prezentują je w internetowych serwisach (typu: szukajwarchiwach.pl), trudno do nich po prostu wejść i zobaczyć wszystko „od kuchni”. Wielka szkoda, bo sporo z nich mieści się w obiektach zabytkowych, które również warto zobaczyć. Niemniej od czasu do czasu pojawiają się takie okazje. Najbliższa może się pojawić już wkrótce, w Noc Muzeów. W całej Polsce odbędzie się ona 18 maja, przy czym w Krakowie, tradycyjnie, rozpocznie się

dzień wcześniej. Kolejna możliwość zapewne nadarzy się 9 czerwca, w Międzynarodowy Dzień Archiwów.

Może na tę okoliczność niektórym przyda się informacja, że sieć polskich archiwów państwowych tworzy trzydzieści archiwów regionalnych oraz trzy centralne, zlokalizowane w Warszawie: Archiwum Główne Akt Dawnych (AGAD), Archiwum Akt Nowych (AAN) i Narodowe Archiwum Cyfrowe (NAC). Znajdująca się w nich dokumentacja stanowi unikatowe źródło informacji o historii naszego państwa i społeczeństwa. Powstała w toku działalności instytucji państwowych i samorządowych, a także organizacji społecznych oraz osób prywatnych. Najstarsze dokumenty, XII-wieczne, posiadają: AGAD oraz archiwa w Gdańsku, Krakowie, Lublinie, Poznaniu, Szczecinie i Wrocławiu. Większość zbiorów pochodzi z XIX i XX w.

Jest maj, więc swoje myśli automatycznie kieruję do pałacu Raczyńskich przy ul. Długiej 7 w Warszawie. Właśnie tutaj, w AGAD, jest przechowywana

Ustawa Rządowa, znana jako Konstytucja 3 maja, którą Sejm Wielki uchwalił w 1791 r. Była ona pierwszą w Europie, a drugą na świecie – po amerykańskiej – nowoczesną i spisaną konstytucją narodową. Była także pierwszą polską ustawą zasadniczą i jedną z pierwszych na świecie konstytucji przyjętych w sposób w pełni demokratyczny. Wprowadzała ustrój monarchii konstytucyjnej, jakiego większość państw europejskich doczekała się dopiero w kolejnym wieku. Przyjęła monteskiuszowski podział władzy na: ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą.

Ustawa, która była ambitną próbą reformy Rzeczypospolitej po jej pierwszym rozbiore w 1772 r., funkcjonowała jedynie kilkanaście miesięcy. Już w kwietniu 1792 r. w Petersburgu zawiązała się przeciwko niej konfederacja – jej akt został ogłoszony w Targowicy, stąd w historii zapisała się jako konfederacja targowicka. Jej konsekwencją było wkroczenie wojsk rosyjskich na terytorium Rzeczypospolitej. Wojna zakończyła się polską przegraną, a konstytucja przestała obowiązywać. Jej los został ostatecznie przypieczętowany na sejmie grodzieńskim 23 listopada 1793 r. Wtedy też zostały uchylone wszystkie postanowienia Sejmu Wielkiego.

Jak już wspomniałam, do dziś zachowały się tylko trzy oryginały rękopiśmienne Konstytucji 3 maja. Dlaczego tak mało? Targowiczanie po przejęciu władzy rozpoczęli działania, które zmierzały do zatarcia po niej wszelkich śladów. Ze szczególną zaciekleścią poszukiwali zatem oryginalnych egzemplarzy dokumentu. Jeden tekst, z tzw. Metryki Litewskiej, ocalał w Bibliotece Królewskiej, gdyż tu nie sięgały wpływy przeciwników reform. Drugi, z Archiwum Publicznego Potockich, przechowali w ukryciu członkowie tej rodziny, która w znacznej mierze przyczyniła się przecież do powstania i uchwalenia ustawy. Trzeci rękopis, z Archiwum Sejmu Czteroletniego, przechował jeden z sekretarzy sejmowych. Ostatecznie wszystkie trzy manuskrypty trafiły do AGAD. Co ciekawe, nie stanowią one odrębnych pozycji, ale są częścią zawartego w ówczesnych księgach zestawu różnych dokumentów z tamtej epoki.

Konstytucję 3 maja, po jej wprowadzeniu, podziwiała cała liberalna Europa. Edmund Burke, twórca nowoczesnego



Pobierz aplikację
Publico24 Newsstand
i czytaj **Poznaj Świat**,
gdziekolwiek
masz ochotę



Wygodny dostęp do prasy na telefonie i tablecie



POZNAJ ŚWIAT POLECA

konserwatyizmu, chwalił ją jako przykład pokojowych przekształceń ustrojowych. Z aprobatą spoglądali na jej zapisy papież Pius VI oraz Fryderyk Wilhelm II, król Prus. Z kolei Thomas Jefferson, późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych, stał na stanowisku, że (ówczesny) świat uzyskał trzy konstytucje godne pamięci i szacunku – w kolejności ich ustanawiania – amerykańską, polską i francuską.

W AGAD znajduje się wiele bezcennych perełek. Wspaniałe zbiór kartograficzny, średniowieczne pergaminy, unikalne archiwalia tureckie... Wśród tych ostatnich szczególne wrażenie robią dokumenty kancelarii osmańskiej, które zostały opatrzone wyjątkowymi dziełami sztuki – tigrami, sułtańskimi znakami

o fantazyjnych kształtach. Malował je zawsze specjalny urzędnik, jednocześnie – artysta. Czy jest szansa, aby je kiedykolwiek zobaczyć z bliska? Na pewno. Tym bardziej że archiwalia czasami bywają też wypożyczane na potrzeby różnych ekspozycji. Warto zatem trzymać rękę na pulsie i odwiedzać wystawy, galerie, muzea... ◯

Anna Szczęsna

Dziennikarka, politolog, redaktor. Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyci.

W skały

Maj to czas, kiedy nie tylko przyroda budzi się do życia. Tak jest też z częścią ludzi. Do aktywności w terenie zachęca dłuższy dzień, coraz więcej słońca i rozwijająca się po zimowym śnie przyroda. Maj to świetny miesiąc na wypad w skały. Trzeba się do niego odpowiednio przygotować.

SPORTOWE WSPINANIE BLACK DIAMOND SOLUTION

Uprząż z konstrukcją Fusion Comfort™ to doskonałe połączenie lekkości i komfortu. Jest gotowa na wielogodzinne patentowanie, wielokrotne próby i długą asekurację. Przeznaczona do wspinania sportowego. Uprząż wyposażona w 4 usztywniane szpejarki. Szeroki pas biodrowy i nogawki wyściełane materiałem 3D Air Mesh szybko odprowadzającym wilgoć. Nie krępują ruchów podczas wspinania. Waga: 330 g.



Cena: ok. 340 zł
blackdiamondequipment.com

WYGODA I STYL MILO KAKAYA

Niezwykle lekka, zapinana na guziki koszula trekkingowa wykonana z oddychającego, szybko schnącego i elastycznego materiału. Idealna na letnie wędrowki. Rękawy można podwinąć i zabezpieczyć patką z guzikiem. Ma luźny krój, kieszonkę na piersi, profilowany dół oraz haftowane logo. Materiał to 86% poliester i w 14% spandex.



Cena: ok. 250 zł
www.milo.pl

DLA WYMAGAJĄCYCH SCARPA DRAGO

Buty Scarpa Drago to doskonały model, który dzięki asymetrycznej konstrukcji i wzmocnionej pięcie doskonale sprawdzi się na technicznych, przewieszonych drogach oraz boulderach. To jeden z modeli, który efektywnie wspiera w walce do kolejnego przechwyty.



Cena: ok. 620 zł
www.himalsport.com.pl

DLA BEZPIECZEŃSTWA GRIVEL CLEPSYDRA K10G

Clepsydra K10G to wysokiej jakości karabinek o gruszkowatym kształcie. Ma dodatkową drucianą blokadę, która pozwala utrzymać karabinek we właściwej pozycji. Szczególnie docenią to początkujący wspinacze, dla których niezwykle istotne jest dobre ułożenie karabinka zarówno na łączniku uprząży, jak i na przyrządzie asekuracyjnym. Zapięcie karabinka stanowi system Twin Gate.



Cena: ok. 90 zł
www.himalsport.com.pl

DLA DOŚWIADCZONYCH WSPINACZY PETZL GRIGRI

Nowa, ulepszona wersja bardzo popularnego przyrządu asekuracyjnego ze wspomaganym hamowaniem, przeznaczonego dla doświadczonych użytkowników. Został opracowany, by ułatwić asekurację zarówno na ścianie wspinaczkowej, jak i w skałkach.

Można go używać na wszystkich linach pojedynczych o średnicy od 8,5 do 11 mm. Wspomagane hamowanie zwiększa komfort asekuracji podczas patentowania i zatrzymywania odpadnięć. Konstrukcja rączki zapewnia wyjątkową kontrolę opuszczania.

Schemat użycia wygrawerowany na przyrządzie. Dostępny w trzech kolorach: szarym, pomarańczowym, niebieskim. Ciężar: 175 g.



Cena: ok. 320 zł
www.amc.com.pl

KOMFORT TERMICZNY THE NORTH FACE IMPENDOR POWERDRY

Kurtka Impendor Powerdry oferuje optymalne dopasowanie i komfort nawet w czasie najtrudniejszych podejść. Efektywna tkanina Polartec® Power Dry® odprowadza wilgoć, zapewniając świeżość i suchość podczas wspinaczki.



Cena: ok. 500 zł
www.thenorthface.pl

DLA NAJMŁODSZYCH KAMIK CRAB

Dieciące sandały terenowe, do spacerów i aktywności na terenach pozamiejskich. Idealnie sprawdzą się na spacerach po terenach z nieutwardzonym podłożem, w niższych partiach gór oraz podczas zabaw na plaży. Cholewka bazuje na wodoodpornej, szybko schnącej skórze syntetycznej, przyjaznej w dotyku. Stopę w sandale stabilizuje łatwy w obsłudze system wiązania ze ściągaczem, od góry wspartym zapięciem na rzep. Śródpodszwa z pianki EVA zapewnia odpowiednią amortyzację, a wyściółka chroni stopę przed bakteriami i zapocieniem. Uzupełnieniem całości jest otok poprowadzony wzdłuż całej dolnej części sandała z poszerzoną gumą na wysokości palców, co zapewnia im ochronę przed kamykami i uderzeniami w twarde elementy podłoża.



Cena: ok. 190 zł
kamik.com

To seria pakownych, trwałych i odpornych na warunki atmosferyczne toreb podróżnych, w które zapakujemy wszystko, co może się przydać podczas wyprawy (pojemności od 40 do 130 l). Wszystkie modele są wykonane z wytrzymałego, nieprzemakalnego brezentu i mają wyjątkowo szerokie otwarcie, zapewniające łatwy dostęp do zawartości. Torby nosi się na dwa sposoby – na ramieniu lub jako plecak. Wewnętrzne kieszenie siatkowe pozwalają zachować porządek wewnątrz, zewnętrzne pasy kompresyjne zapobiegają spadaniu zawartości na dno torby podczas noszenia jej pionowo, na obu ramionach, a wyścielany spód chroni sprzęt przed twardym podłożem.

NOWOŚCI THULE ALLTRAIL 25L



Cena: ok. 430 zł
thule.com

Firma Thule rozszerzyła zaprezentowaną w ubiegłym roku serię uniwersalnych plecaków trekkingowych Thule Alltrail – do wcześniejszych modeli 35 i 45 l dołączyły nieco mniejsze warianty, o pojemności 25 i 15 l. Są dostępne w wersji damskiej i męskiej, mają praktyczną, otwieraną od góry kieszeń, a także zamek błyskawiczny z boku głównej komory i przednią kieszonkę, dzięki którym łatwo się dostać do elementów bagażu podczas wędrowki. Wszystkie pasy (naramienne i biodrowy) oraz panel tylny są wentylowane. Na szlaku docenimy również komorę na bukłak z otworem na rurkę oraz dwie kieszenie boczne na butelki. Plecak ma pętle na kije trekkingowe lub czekan, praktyczne kieszonki na drobiazgi (w pokrywie i na pasie biodrowym), a także boczne paski kompresyjne i uchwyty, pozwalające na łatwe mocowanie dodatkowego osprzętu.

Cena: ok. 430 zł
thule.com

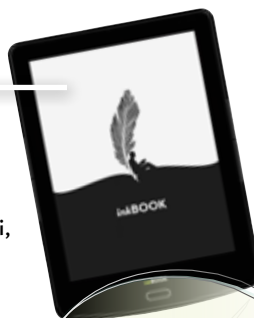


MAKARON W SOSIE ŚMIETANOWYM Z KURCZAKIEM I SZPINAKIEM TREK'N EAT

Firma Trek'n Eat jest liderem na europejskim rynku żywności ekspedycyjnej i turystycznej. Oferuje niezwykle szeroki zakres żywności liofilizowanej, w której skład wchodzi: od takiej z pojedynczymi składnikami i dodatkami, poprzez przekąski i zupy, aż po wymienione w smaku dania główne. Przyrządzanie jest dziecinnie proste. Należy wlać wrzącą wodę do woreczka, nie przekraczając zaznaczonej w nim linii (490 ml), zawartość dokładnie wymieszać, woreczek zamknąć i pozostawić do naciągnięcia przez 5 minut. Kalorie: 640 kcal. Węglowodany: 51 g/100 g. Białko: 14 g/100 g. Tłuszcz: 18 g/100 g.

WSZECHSTRONNY INKBOOK PRIME HD

InkBook Prime HD, 6-calowy czytnik e-booków z konfigurowalnym doświetleniem, to jeden z najbardziej wszechstronnych czytników książek elektronicznych na rynku. Dzięki odpowiednio dostosowanemu systemowi Android urządzenie obsługuje wszelkie formaty e-książek i dokumentów oraz najróżniejsze serwisy i sklepy z elektroniczną literaturą (w tym polski serwis Legimi, pozwalający w ramach abonamentu na nieograniczony dostęp do ogromnej liczby e-booków). Dotykowy ekran E Ink Cart Flat Glass Solution (300 ppi) z systemem doświetlenia o regulowanej barwie pozwala na dostosowanie jasności i kolorystyki ekranu do własnych preferencji. Czytnik ma też programowalne przyciski – dzięki temu każdy może przerzucać elektroniczne strony tak, jak mu wygodnie. Do dyspozycji jest 8 GB na przechowywanie danych, co pozwala na wgranie ok. 3000 ebooków, obsługę najpopularniejszych formatów e-booków i plików PDF, dostęp do Wi-Fi, Bluetooth i złącza microSD oraz microUSB. InkBook Prime HD wyposażono w akumulator o pojemności 2000 mAh (który wystarczy na kilka tygodni czytania). Jest lekki, smukły i wydajny. Cechuje go nowoczesny design, wąskie ramki wokół ekranu, gładka przednia powierzchnia, wirtualny podświetlany przycisk u dołu ekranu i stylowe żłobienia na tylnym panelu.



Cena: ok. 600 zł
www.inkbook.pl/primehd



Cena: ok. 30 zł
trekneat.com

DZIECIĘCA PRZYCZEPKA ROWEROWA WEEHOO I-GO TURBO

Pamiętam wiklinowy koszyk na rower, w którym jeździłem, oczywiście bez pasów i kasku. Wtedy dostępność sprzętu, jego jakość i dostosowanie do konkretnej aktywności było zdecydo-



FOT. EVA MEDZIŃSKA

wanie mniejsze. Obecnie produkty pozwalają na długie obcowanie z naturą, bezpieczne i komfortowe zarówno dla rodzica, jak i dziecka. Dlatego prezentujemy kolejny produkt pozwalający na realizację pasji rodzica i zaszczepienie jej w pociechach. Oto dziecięca przyczepka rowerowa Weehoo i-Go Turbo. Już pierwsze przejechane metry przekonują mnie, że daje ona znacznie więcej możliwości doboru tras w porównaniu z przyczepką dwukołową (nazwijmy ją tradycyjną). Jazda, jak i manewrowanie, są łatwiejsze, chociaż podczas zawracania przyczepka nieco się wychyla. Ponadto z racji wymiarów (jej szerokość to zaledwie 36 cm) pozwala wjechać na wąskie ścieżki. Jest stabilna dzięki nisko osadzonemu środkowi ciężkości. Nie jeździłem z nią jeszcze szybko i w trudnym terenie, jednak większość użytkowników wybierze raczej asfalty, szutry i trasy rowerowe typu „flow”. Przyczepka ma długość 124 cm, a wraz z holem 208 cm. Po rozłożeniu mieści się w bagażniku samochodu, co jest istotne dla niejednego rodzica. Choć jej waga nie pomaga w ta-

kich manewrach. Drugie spostrzeżenie to możliwość czynnego udziału dziecka w wycieczce poprzez niezależny układ napędowy (korba i łańcuch, który jest odpowiednio zabezpieczony i poprowadzony w plastikowym tunelu). Jadąc w foteliku bądź w tradycyjnej zamkniętej przyczepce, dziecko nie uczestniczy aktywnie w przejażdżce, przez co może się po prostu nudzić. Testowany model pozwala na szybką i płynną regulację pozycji fotela. Wynika to z profilu głównej rury, na której jest montowany fotel. Wraz z odpowiednim kształtem fotela mamy zatem „pojazd”, którym możemy przewozić pasażerów w wieku od 2 do 9 lat lub o wzroście od 96 do 132 cm. Z kolei waga, na jaką pozwala konstrukcja, to maksymalnie 36 kg. Nie musimy się zatem martwić, że zakup przyczepki jest wydatkiem raptem na 2–3 lata. Posłuży ona wiele lat, a jej koszt rozłoży się na dłuższy czas. Z tego punktu widzenia taka inwestycja

okazuje się stosunkowo niedroga.

Cena: ok. 1800 zł
weehoo.pl



Teraz kilka słów o dopasowaniu przyczepki do roweru. Używałem jej wraz z rowerem typu gravel. Weehoo pasuje do większości rowerów dla dorosłych z okrągłą rurą podsiodłową. W zestawie otrzymujemy specjalne tuleje (w 6 różnych średnicach) z tworzywa, które zakładamy na sztycę tak, aby jej nie uszkodzić podczas holowania.

Jeśli chodzi o kompatybilność z kołami, to producent podaje niemal wszystkie dostępne na rynku (26”, 27,5”, 29”, 650c lub 700c).

Na koniec kwestia wygody i rzecz jasna bezpieczeństwa. Weehoo i-Go Turbo ma trzypunktowe pasy, w tym jeden zapinany na wysokości piersi. Oparcie fotela ma dobry kąt, dzięki czemu dziecko jadące w kasku jest w stanie wygodnie się oprzeć i nawet jeśli zaśnie, głowa nie leci mu do przodu (jak to bywa w większości fotelików montowanych bezpośrednio na rowerze). Pedaly dla dziecka są wyposażone w pasy na rzep, przez co możemy idealnie je dopasować. Łącznik roweru z przyczepką ma niewielki błotnik, który chyba niestety nie poradzi sobie z ochroną pasażera przy jeździe na mokrej nawierzchni (można było zastosować nieco większą ochronę). Dwie sakwy (14 l) na tylnym kole oferują niezbędną przestrzeń bagażową na ubranie, coś do jedzenia itp. Stanowią również zabezpieczenie przed tym, aby dziecko nie włożyło rączek w szprychy. Sakwy montuje się do metalowego stelaża znajdującego się nad kołem przyczepki. Warto okleić sobie ten stelaż taśmą i dopiero potem montować sakwę, tak aby zabezpieczyć ją przed błotem i wodą przy jeździe w złych warunkach atmosferycznych (sakwa nie wygląda na wodoodporną). Z tyłu siedziska znajdziemy dużą kieszeń, a po bokach – dwie mniejsze na butelkę i przekąskę lub zabawkę, do których dziecko samodzielnie sięgnie. Jest możliwość rozbudowy przestrzeni bagażowej o większe sakwy (31 l) i platformę bagażową (550 cm²). To dobra alternatywa dla zapalonych wyprawowiczów. Przyczepka spełnia normy europejskie BS EN 15918 oraz amerykańskie ASTM F1975.

Weehoo i-Go Turbo to zupełnie nowy wymiar podróży z dzieckiem na rowerze. Daje z pewnością więcej możliwości niż inne przyczepki, a przy tym bardziej aktywizuje malucha. Jest też lepszym rozwiązaniem dla rodzica, bo stawia mniejszy opór powietrza i jest lżejsza niż tradycyjna przyczepka, co odczujemy przy dłuższych trasach. Już nie mogę się doczekać kolejnej wycieczki z Zosią.

Test: Grzegorz Miedziński

LITTLELIFE RANGER S2 CHILD CARRIER – NOSIDEŁKO TURYSTYCZNE

Grono młodych rodziców, którzy chcą, aby ich pociecha zasmakowała w terenowych aktywnościach wzrasta. Coraz częściej spotykamy całe rodziny z małymi dziećmi na szlaku w górach, na rowerze czy nartach. Na taki stan rzeczy wpływa z pewnością lepsza niż kiedyś dostępność produktów, które ułatwiają zabranie dziecka na wycieczkę. Jednym z nich są nosidełka turystyczne. Niska waga, precyzja wykonania, dbałość o szczegóły – to tylko niektóre ich wyróżniki.

Dzięki współpracy z firmą Raven miałem okazję przetestować nosidełko turystyczne LittleLife Ranger S2 Child Carrier. Całość została wykonana z wytrzymałych i lekkich materiałów, które zapewnią komfortowe, i pewnie również długotrwałe, użytkowanie. Konstrukcja została oparta na trwałej aluminiowej ramie. Dobry system regulacji (ramiona, pas biodrowy i piersiowy) pozwala na idealnie dopasowanie. To sprawia, że nosidło mogą nosić osoby o wzroście między 157 a 187 cm. Pas biodrowy ma

dwie zapinane na suwak kieszonki – bardzo przydatne na różne drobiazgi. Jeśli zaś chodzi o „głównego” użytkownika, czyli maluszkę, to producent podaje przedział wieku między 6 a 36 miesięcy. Kolejnym kryterium jest także waga, która w przypadku tego modelu wynosi maksymalnie 20 kg. Ergonomiczny kształt siedziska pozwala dziecku na odpowiednie ułożenie ciała podczas użytkowania. Jest to niezwykle istotne, ponieważ nie wpływa na niekorzystny rozwój układu kostnego i mięśniowego dziecka. Siedzisko można wyregulować za pomocą paszków i lekkich sprzączek, tak by dostosować je do wielkości pociechy. Paski są wyposażone w sprzączki X-Buckle, dzięki czemu odpowiednio

dostosowują nosidło do wielkości dziecka. Kolejnym udogodnieniem jest poduszczone zabezpieczenie głowy oraz twarz dziecka przed uderzeniami w stelaż. Jest przypinana na rzep, więc łatwo można ją zdekontować, aby np. wyprać.

Nosidełko ma podpórki, która bardzo ułatwia stawianie go na podłożu. Pomocna w użytkowaniu jest także rączka, którą umieszczono na szczycie konstrukcji. Usprawnia ona przenoszenie całości, gdy nie jest założona na plecy. To istotne elementy, gdy jesteśmy sami i musimy bez pomocy drugiej osoby założyć na plecy nosidło wraz z dzieckiem. Istnie-

je również możliwość przyłączenia do nosidła worka na akcesoria, który jest dostępny osobno.

Nosidełko turystyczne LittleLife Ranger S2 Child Carrier jest najlżejsze z serii tego producenta (1,7 kg). Z kolei wymiary stelaża wynoszą odpowiednio: 58 cm wysokość, 29 cm szerokość i 13 cm głębokość. Ranger S2 swoje rozwiązania techniczne przekłada na komfort tak dziecka, jak i dorosłego, który je nosi. Dzięki niemu można dzielić się z najmłodszymi swoją pasją przebywania na turystycznych szlakach. Miałem okazję użytkować dwa inne nosidła i to jest najwygodniejsze i najlżejsze. Uśmiech Zosi podczas wędrówki był wystarczającym dowodem na to, że czuje się komfortowo. Model ten jest jednym z mniejszych i najlżejszych na rynku. Jeśli więc szukacie nosidła bez dodatkowych kieszeni, schowków i gramów LittleLife Ranger S2 będzie dobrym wyborem.

Nosidło jest zgodne ze standardami BS EN 13209:2004 oraz BS EN 71-3:1994. Producent oferuje na nie 3-letnią gwarancję.

Test: Grzegorz Miedziński



Cena: ok. 500 zł
littlelife.com





FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



Maszerowali, bo kazali

Święto Pracy zostało powołane przez II Międzynarodówkę ku pamięci brutalnie spacyfikowanego robotniczego strajku z 1886 r. w Chicago. Na ziemiach polskich manifestacje odbywały się już w XIX w. i miały charakter spontanicznych wieców, które spotykały się z represjami, zwłaszcza ze strony carskiej policji. Po odzyskaniu niepodległości pierwszomajowe pochody odbywały się już legalnie i były organizowane głównie przez działaczy PPS.

Po II wojnie światowej 1 maja stał się świętem państwowym, a coroczne marsze do dziś są nazywane jednym z największych dzieł PRL-owskiej propagandy. W pochodach w całym kraju maszerowały setki tysięcy robotników ubranych charakterystycznie dla danego zawodu, rolnicy w ludowych strojach oraz dzieci i przedstawiciele organizacji młodzieżowych. Wielu uczestników przychodziło z obowiązku, absencja groziła nawet utratą pracy, jednak Polska Ludowa dbała, aby w światowej prasie ukazały się obrazy wesołego maszerującego ludu pracy, cieszącego się z socjalistycznego dobrobytu.

Na zdjęciu fragment warszawskiego pochodu pierwszomajowego z 1967 r. podążającego ul. Świętokrzyską, w tle widoczny hotel Warszawa. Wśród sloganów propagandowych wyróżnia się „Pokój i Wolność”. Niespełna rok później władza siłowo zduży protesty studentów, a następnie rozpocznie antysemicką nagonkę w całym kraju.



JORDANIA – KRAINA CZERWONYCH PIASKÓW



AZORY – KRUK, KORMORAN, KROWA, KALDERA



CHILE – MIASTO SPRAYEM MALOWANE

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Anna Krystofiak
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Jerzy Nowiński, Tomasz Owsiany, Anna Szczesna,
Magdalena Zelewska, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku
Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

Patronaty medialne
Martyna Bulba
martyna.bulba@poznaj-swiat.pl

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
Probiez Leasing sp. z o.o. sp. k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
pnummerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wąty Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.



S P E E D C R O S S 5



THE RAWEST
EMOTION

HOW TO
TRAIL
RUN

DOŁĄCZ DO BEZPŁATNYCH TRENINGÓW
BIEGOWYCH MARKI SALOMON I PRZETESTUJ
SPEEDCROSS 5 W TERENIE

[HOWTOTRAILRUN.SALOMON.COM/PL](https://www.howtotrailrun.salomon.com/pl)



Rowerowa Karyntia

Południowe klimaty bez granic

Odprężamy się, pedałujemy w stronę słońca i czerpiemy inspiracje z turkusowych karynckich jezior, łagodnie górzystego otoczenia i wspaniałej pogody. Chwile szczęścia – do zapamiętania i zabrania do domu wraz ze wspomnieniami. Umiemy cieszyć się życiem.



Południe
Austrii

rower.karyntia.pl

KARYNTIA
Ciesz się życiem